



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebora i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Dawno nie tęskniliśmy już tak do zimy i pierwszych mrozów, jak obecnie, pomimo tego, iż lato ciągle swoimi urokami nas czaruje a słońce ziemię wyzłaca jak jubiler i w powtórne kwiaty stroi drzewa, nawet świeżymi malinami po raz drugi traktuje nas w tym roku.

Wszystko to byłoby kiedyindziej zachwycające, ale nie dzisiaj, gdy Kochowski przecinek, jak miecz Damoklesa, wisi nam ciągle—nie nad głową wprawdzie, lecz nad żołądkiem.

Dopóki nie wygasną ogniska cholery w Europie, bliżej nas i dalej, póty nie będziemy spokojniejsi.

I dlatego—to wyglądamy z utęsknieniem mrozów, które sobie poradzą z epidemią energiczniej, niż wszystkie nasze próby i starania zatłumienia jej dezynfekcją i assenizacją.

Ale do tych mrozów jeszcze daleko; siwosz Św. Marcina buja jeszcze nieosiadłany po niebieskich rozłogach i nie pilno mu do wycieczki na ziemię, na której i tak dla pospolitych koni nie starczy paszy, wypalonej na łąkach.

Kiedy tam-to jeszcze owe śniegi spadną i mrozy nastaną!... niejeden może z najzdrowszych dzisiaj już ich nie doczeka.

„Gazeta lekarska“ ostrzega na podstawie statystyki śmiertelności, że i bez cholery, która jakoś łaskawie zawsze jeszcze omija Warszawę, stan zdrowotny miasta się zepsuł z powodu nieżyty kisk, dysenterii i ospy, zaczynającej na nowo grasować pomiędzy nami.

Uwzięły się same brzydkie choróbka, aby nam wyjątkowo dokuczać i dały sobie u nas schadzke w tym roku.

Mimo to sezon jesienny rozpoczyna się zwykłym trybem.

Warszawa coraz ludniejsza, coraz ruchliwsza się staje, wędrowne ptactwo wraca na bruk miejski pojedynczo i gromadami.

Szkoły pomimo opóźnienia zaroily się już młodzieżą, która odświeżyła fiziognomią miasta tysiącami rumianych i uśmiechniętych buziaków.

Wszystko to powróciło posilone, podkarmione z maminyh rąk, zadowolone z tak wyjątkowo pogodnych i przedłużonych wakacji.

Teraz trzeba się zabrać do książki i uczyć, uczyć, uczyć jaknajwięcej i jaknajpilniej.

Nowy rok szkolny poprzedziła wcale nie budząca sprawa wewnętrznego zatargu jednej z bardzo pożytecznych i rozkwitających instytucji, której powstanie przed laty kilkunastu witaliśmy wszyscy z jaknajwiększą życzliwością i najlepszymi nadziejami; mówię tu o szkole rzemiosł przy ulicy Składowej, obecnie we własnym domu pomieszczonej.

Ten dom, niestety, stał się przyczyną nieporozumień i swarów pomiędzy dotychczasowym dyrektorem szkoły a jej opiekunem, jako przedstawicielem fundatorów i dobroczyńców zakładu, założonego z ofiar prywatnych i utrzymywanego również kosztem prywatnym: między p. Jerzym Kühnem a Drem Natansonem.

Pamiętam dobrze odezty Dra Natansona w sali ratuszowej, który pierwszy rozwijał potrzebę i pożytki szkoły rzemiosł u nas z katedry publicznej, wykazując, iż przez nią tylko może wejść większy procent intelligencji do sfery rzemieślniczej, może podnieść się i uszlachetnić rękodzielnicstwo, może być, jeśli nie całkiem usunięta, to znacznie ograniczona, demoralizująca terminatorstwa u majstrów po warsztatach.

Wszystko to były argumenta jasne, zdrowe, trafiające do przekonania i, jak się później z faktów okazało, całkiem słuszne i racjonalne.

Nie dziwnego, że przy zachodach głównego inicjatora i ludzi dobrej woli szkoła taka powstała szybko, z funduszy składkowych i że wobec

jej rozwoju ofiarność ta pochwały godna zdobyła się nawet na postawienie własnego domu dla szkoły rzemiosłowej.

Pierwszym jej kierownikiem był nieboszczyk Łapiński, drugim, dotychczasowym—p. Kühn, któremu szkoła wiele miała do zawdzięczenia pod względem organizacyi, wzrostu i pedagogicznego kierownictwa.

Ale, jak to często bywa, w najlepszy zasiew licha jakieś domiesza kąkol; stało się tak i w tym wypadku.

Dyrektor szkoły w miarę jej rozwoju coraz wyższym dał się ponieść ambicjom i chciał z niej zrobić jakiś instytut rzemiosłowy; opiekun opierał się przy pierwotnym jej charakterze, dbając głównie o cel, w jakim była założoną. Jeden miał rację, że dążył do postępu, drugi miał rację, że przestrzegał przed przekraczaniem granicy.

Z tego ścierania się zdań i kierunków przyszło do zaognienia stosunków w naczelnej władzy.

Pan dyrektor narzesze zawołał:

— Hola, szkoła — to ja, który ją prowadzę!..

Pan opiekun zawołał:

— Przepraszam, szkoła — to my, którzy na niąłożymy!..

— Ja wiem, czego chcę!..

— A ja wiem, czego my nie chcemy.

Od słowa do słowa przyszło do otwartej wojny.

— Skoro pan nie chcesz być dyrektorem takiej szkoły rzemiosłowej, jakąśmy założyli, zbudowali i wyposażyli, w takim razie zrób nam miejsce w naszym własnym domu, abyśmy na niem kogo innego posadzili.

— A kiedy szkoła jest moja, więc i dom jest jakby mój, i nie widzę racyi, abym z niego ustępował pomimo awizacyi.

— Jakże szkoła jest pańska, skorośmy za własne pieniądze ją wystawili i do niej dokładamy?

Nie mogąc się wzajem przekonać, zaniesiono ten dylemat do sądu.

I to właśnie jest gorszącą stroną całej sprawy; pierwszy to może u nas wypadek tego rodzaju, w którym instytucja naukowa processuje się, zasiada przed kratkami sądowymi samowolnie i zajmuje opinią publiczną, nie kwestyą programu, kierunku, pedagogicznych postępów, ale kwestyą tytułu hipotecznej własności.

Każda strona, czując się w prawie, upiera się przy swoim i każda szuka środków do zwalczania drugiej, — ale na tem traci sama instytucja, sam cel i dobro publiczne.

Pan Kühn obwarował się w ostatnich czasach tak, żeby go zasada *beati possidentes* broniła nawet z tej strony, z której najłatwiej zacząć-by go można było.

Co będzie dalej, i jak się skończy ta historia cała?.. w każdym razie życzyć wypada, aby się skończyła bez ujmy dla szkoły, która tyle pożytku dotychczas dawała i po rozstrzygnięciu zastargu oby dawała nadal!

Zdaje mi się, że ostudziwszy nieco rozgrzaną krew, możnaby dojść do porozumienia. Trudno zaprzeczyć, że przydałby się zakład naukowy, któryby kształcił młodzież w rzemiosłach na wyższą skalę; owszem, im więcej nauczyć się w tym kierunku można, tem lepiej, ale i to uwzględnić logicznie należy, że tak, jak dziwnem, co najmniej, wydawać-by się mogło zakładanie w mieście uniwersytetu, w którym niema szkół średnich i przygotowawczych, — tak i wyższa szkoła rzemiosłowa bez niższej byłaby czemś oderwanem i niezupełnem pod względem pedagogicznym.

Zresztą, niech o tem rozstrzygają doświadczeni specjaliści, byle nie w rodzaju p. Korwin-Piotrowskiej, inicjatorce niedoskiej do skutku wystawy pracy kobiecej w Wilnie, która obecnie w Smoleńsku, jak donosi *Gazeta warszawska*, wygłosiła odczyt o wychowaniu kobiet i dla większej skuteczności domagała się wprowadzenia... różgi.

Nie wiem, co na to powiedziały słuchaczki, ale jestem pewny, że byłyby w niemały kłopot wprowadziły prelegentkę, gdyby ją były zapytały publicznie:

— A czy też szanowna pani, która zapewne ma pretensyą do dobrego wychowania, zawdzięcza je także temu energicznemu środkowi, zalecanemu dzisiaj z katedry?...

Przyz aję, że mi trudno uwierzyć, aby z ust kobiety wyszła tego rodzaju rada naseryo, jeżeli to nie jest jednym dziwactwem, lub jednym zboczaniem więcej u schyłku XIX-go wieku.

Wniaskodawczyni, gdyby należała u nas do komisji plantacyjnej, głosowałaby zapewne za wysadzeniem ulic i skwerów brzozaami, aby przysposobić, jaknajwięcej materiału na ów skuteczny środek wychowawczy, którym kierować chce dziewczęta (do jakiego wieku?...); możeby nawet rozwinęła tak gorliwą agitacyą, jak niektórzy zwolennicy nieszczęśliwego jedwabnictwa u nas, zalecający bardzo gorąco sadzenie drzew morwowych na bruku warszawskim.

W czasach tegoczesnej posuchy bowiem, one jedne nie ucierpiały, nie straciły swojej zieleni i okryte bujnym listowiem drwiły sobie z upałów, podczas gdy inne drzewa, omdlewały jak Hagar na puszcy, szmerząc zeschłemi liśćmi:

„Jehowa, kropelki, kropelki choć dżdżu!“...

Ponieważ u nas jedno zdanie musi wywołać choć trzech przeciwników, dlatego tylko, że z niem ktoś inny bez ich zezwolenia wystąpił, więc i morwy, pomimo swojej wytrzymałości na suszę i spiekotę, spotkały się z opozycyą.

Zrobiono jednak słuszną uwagę, że *pro 1-mo* takie upały wyjątkowe i posucha nie zdarzają się co roku, *pro 2-do*: że drzewa na skwerach i ulicach miejskich trzeba tylko dobrze podlewać, jeśli się chce, aby nie marniały i nie ucierpiały podczas bezsnotnej kanikuly.

Przy tej okazji dowiedzieliśmy się o fackie nader pożądanym, a mianowicie o przygotowywaniu przez komisję plantacyjną szczegółowego planu zadrzewienia większego Warszawy, jako jednego z koniecznych warunków do podniesienia zdrowotnego jej stanu.

Pod względem bowiem plantacji roślinnych w stosunku do ludności, syreni gród zajmuje pra-

wie ostatnie miejsce w rzędzie większych miast europejskich.

Niepodobna jednak zaprzeczyć, że w ostatnich latach dużo się u nas na dobre w tym kierunku zmieniło; zielone oazy, jak malachity wprawione w mozaikę naszego bruku, coraz więcej się mnożą. W roku przyszłym zazieleni się plac zamkowy i Krakowskie Przedmieście większymi skwerami; w bieżącym roku przybył cały ogród nieopodal jednej z najruchliwszych arteryi miasta, bo w pobliżu Nowego Światu, na Dynasach, gdzie sobie cykliści urządzili własną wspaniałą siedzibę, poświęconą uroczyscie w ubiegłą niedzielę przez ks. biskupa Ruszkiewicza.

Na zamiedbanej pustce, p. Koprowski, jeden z najlepszych naszych ogrodników a prawdziwy artysta w układaniu bukietów i kosztów kwiatowych, założył dla naszych „sprężystych“ bardzo piękny park, który z czasem, gdy się bardziej rozrośnie, będzie jeszcze większą ozdobą całej tej dzielnicy miasta i chlubą Towarzystwa cyklistów.

Zwolennicy tego sportu ze wszech miar zasługują na miano „sprężystych“, a zwłaszcza Zarząd ich klubu, który dał niejednokrotnie popis energicznej ruchliwości.

Ostatni tego dowód złożył w urzędzeniu takiej siedziby, jakiej niejedno stowarzyszenie sportowe zagranicą mogłoby warszawskiemu pozazdrościć.

W niedzielę odbędą się wyścigi inauguracyjne, na których chyba nasi cykliści nie dadzą sobie wydrzeć nagrody przez zaproszonych współzawodników.

Redakcja *Kuryera codziennego* ofiarowała dla jednego z przyszłych zwycięzców piękny puchar, z którego będzie można wychylić toast za pomysłność i dalszy rozwój towarzystwa, wyrabiającego coraz liczniejszy zastęp dzielnych sportsmenów.

Pierwsze bicykle sprowadzone z wystawy paryskiej przez zmarłego w tych dniach fabrykanta powozów, ś. p. Romanowskiego, ukazały się na bruku warszawskim w roku 1867-ym.

W trzy lata później, zabiegliwy sekretarz Towarzystwa Dobroczynności, p. Julian Heppen urządził pierwsze w Ogrodzie Krasińskich wyścigi cyklistów na cel filantropijny.

Mógłby przeto bicykl obchodzić swój dwudziesto-pięcioletni jubileusz w Warszawie, ale właściwie jego obywatelstwo i rozpowszechnienie na bruku naszym zaczęło się od założenia klubu cyklistów, który pod szczególniejszą opieką Fortuny, (wynalazczyni pierwszego skoropędu) pozostaje dotychczas.

Za przykładem bogini szczęścia, która po Olimpie już jeździła na welocypedzie, poszły i nasze piękne panie, jakkolwiek dotąd nie liczny ich zastęp odważa się dosiadać żelaznego rumaka.

W ogóle sport, oprócz łyżwowego, nie bardzo jest u nas uprawiany przez kobiety, a przydałby się im bardzo, jako środek wyrobienia większych sił masykularnych i hartowania węższych organizmów.

W Anglii prawie każda panna na wydaniu umie pływać, jeździć konno i gimnastykować się; u nas małoktóra uczy się tego, ale za to uczy się malować albo grać na fortepianie.

Przepraszam, zdarzają się wyjątki, i to niepospolite. Dzienniki rozgłosiły fakt godny uznania, jaki wydarzył się tego lata na Norderney; szesnastoletnia córka obywatela ziemskiego z Płockiego, panna Czarnecka uratowała życie siedmioletniemu synkowi jakiegoś niemieckiego urzędnika, kąpiącemu się w morzu.

Za ten bohaterski czyn została przedstawiona do medalu za ratowanie tonących.

Dzielną panną..

Jakkolwiek nie zawsze zdarza się sposobność do łowienia w toni morskiej lub rzecznej topielców, jednak dla własnego bezpieczeństwa przydałaby się pomiędzy młodzieżą bardziej rozpowszechniona umiejętność pływania, aby w danych razach nie padały ofiarą nieopatrzne jednostki.

Mieliśmy tego roku wyjątkowo liczne i tragiczne wypadki, które wiele rodzin smutkiem i żałobą okryły.

Jest to, co prawda, pora nieszczęśliwie wybrana do zalecania ludziom, aby uczyli się pływać,

skoro zimnych kąpiei zabrania przezorność i obawa przed cholera.

Zimnej wody w ogóle w tych czasach unikać każe higiena i medycyna, zwłaszcza nieprzegotowanej, a oto jakby dla ironii, pod Ciechocinkiem, w pobliżu tak zwanych gór raciażkich p. inżynier Majewski odkrył źródło słodkiej, wybornej wody do picia, które w ciągu doby dostarczać może około 100.000 garncy.

Dla Ciechocinka, jeśli nie na dziś, to na przyszłość, odkrycie to bardzo ważne, które mu świetnych dostarczyć może korzyści, a jego gościom i pacjentom wypełni brak, jaki dotychczas uczuwać się dawał.

Ciechocinek ma świetne solanki na kąpiele, ale nie ma dużo, a zwłaszcza dobrej, wody do picia: podczas upalnego lata studnie wysychają, a o euda Mojżeszowe nawet w Ciechocinku podczas najłudniejszego sezonu bardzo trudno.

Powstał tedy projekt sprowadzenia dobrej wody na miejsce akweduktem kilku-wiorstowym, nie tylko ze względu na pragnienie jego mieszkańców stałych i czasowych, ale i ze względu na inne praktyczne cele. Oto możnaby wtedy założyć zakład hydropatyczny na miejscu, o którego pożyteczności mówiło się oddawna; możnaby postawić projektowany browar, któryby się przyczynił do wyrugowania piwa zagranicznego, zalewającego nas coraz większą powodzią, gdyż jak to stwierdziła podobno chemiczna analiza, źródło raciażkie dostarczać może wody doskonałej do wyrobu miejscowego Pilznera.

A zatem skoro tak jest, warto zastanowić się nad projektem ciechocińskich wodociągów poważniej i projekt doprowadzić do skutku.

Tylko że u nas między najlepszym projektem a jego wykonaniem upływa zwykle tyle wody, iż topią się w niej wszystkie pomysły, wszystkie gorące zamiary i najszczerze chęci.

Francuzi, Niemcy, Belgijczycy nawet na naszym gruncie, a więc obcy dla nich, orientują się o wiele szybciej i zabierają do czynu odrazu.

Nowy przykład tego mamy w jakimś przedsiębiorstwie Anglików, którzy zamierzają na Szmulowiznie założyć fabrykę kortów na wzór tak zwanych „mandlowskich“, sprowadzanych z Wiednia, a wyrabianych z różnych odpadków, co o połowę zmniejsza kosztą fabrykacyi.

Z takich materiałów robi się owa tania garderoba, którą nam zagraniczni krawcy przysyłają i w magazynach swoich tutaj sprzedają.

Anglicy postanowili Niemcom zrobić konkurencyą i stawiają fabrykę, która ma dać zajęcie przeszło 1.000 robotników.

Szkoda, że na wystawie wiedeńskiej nie wzięli w entrepryzę polskich przedstawicieli jacy sprytni cudzoziemcy, byłaby, zapewne nasza muzyka uniknęła kompromitacyi; w ostatniej pogawędce przewidywałem taki wynik, nie mając nawet odwagi dodać: *falsus utinam vates sim!*...

Czułem to, że nie będę fałszywym prorokiem; widziałem przecie i słyszałem przed kilkoma tygodniami te siły i środki, które miały reprezentować polską operę na wystawie międzynarodowej w Wiedniu.

Dziś, kiedy *fiasco*, spowodowane niedołęztwem komitetu i zawodem wielkich „gwiazd“ nie ulega już wątpliwości, pozostaje mi tylko ten smutny fakt stwierdzić.

Deficyt wynosi około 30.000 guldenów, a zatem pod względem materialnym jest do stwierdzenia taka sama „klapa“, jaka była pod względem moralnym i artystycznym.

W ostatniej chwili zdecydował się nareszcie p. Edward Reszke, brat słynnego tenora, pojechać do Wiednia i ratować sytuacyą kilkoma piosenkami, śpiewanemi przy fortepianie.

Trudno było naprawić złe, które się zemściło na wszystkich.

Oby przynajmniej nauka w las nie poszła!...

Skorzystaliśmy przynajmniej jedno smutne, ale godne pamięci doświadczenie, że na nasze artystyczne wielkości, które zadziwiają Europę w danych chwilach, liczyć wcale nie można, o ile ich

własny interes, ich własny egoizm, ich własna ambicja nie mogą być przy tem zadowolone.

Sztuka jest kosmopolityczną, to prawda, ale to nie powód, aby artyści byli kosmopolitami.

Nie byłem na wystawie wiedeńskiej i teraz nie a nie tego nie żałuję: jeden z moich przyjaciół, który wrócił z tamtąd rozgoryczony zawodem, jako prawdziwy i gorący wielbiciel sztuki, w ten sposób określił mi swoje uczucia na przedstawieniach polskich w teatrze wystawowym:

— Wyobraź sobie, że w jakimś bardzo dobranem i dostojnem towarzystwie, musiałeś przyznać się do bliskiego pokrewieństwa z kimś źle wychowanym, zaniedbanym, nieokrzyszczanym, niezręcznym, który tylko uśmiech politowania lub lekceważenia wywołuje. Takiego uczucia doznawało się, siedząc wśród tej publiczności europejskiej, która patrzyła na scenę z pobłażliwością gorszą od najsurowszej nagany.

Ach, wyobrażam to sobie i kontent jestem, że się nie ruszał z Warszawy.

Nie pociesza mnie to wcale, iż włosi ze swoją trupą pomimo obecności Mascagnia i Leoneaval-la przy pulpach dyrektorskich, pomimo szalonej reklamy, także pełnego tryumfu nie odnieśli i także miewali salę do połowy tylko zapełnioną na swoich przedstawieniach.

Ich znają zagranicą, oni mają tam ustaloną sławę i opinią, im nawet fiasco, jak nasze, nie wielceby zaszkodziło.

Quis.

Z ZAMKNIĘTEJ KSIĘGI.

SONETY.

...Gaje! Łąki! doliny! strumienie! dąbrowy!
Towarzysze mych dumań, mego szczęścia świadki!
Pamiętacie wy, drzewa, ptaszęta i kwiatki,
Każdy ruch jej postaci, każdy szept rozmowy?

Tu, w gaju, gdzie się skarży strumień kryształowy,
Spadały na jej czoło wonnych czeremch płatki;
Tędy, wracając z pola, niosłem jej bławatki
I plotłem na jej skronie wieniec szafirowy.

Tutaj rwała stokrocie, śmiejąc się, płocha—
Wróżąc, rzucała listki na nurtów pierścienie
I śmiała się, gdy wróżba mówiła: nie kocha!

A gdym chciał błąd poprawić, jak asmodeuszek
Zrywała się—na usta kładła mi paluszek
I znikła z przed oczu, jak sen, jak marzenie!

Płynęła piękna, jasna, niby świt poranny,
Który przed słońcem rzuca blaski i szkarlaty;
Gdy biegła, pod jej stopy chyliły się kwiaty
I więcej rozrzuciły brylantów fontanny.

I strumień płynął szybciej, wydając jęk szklanny,
Powiew wiatru unosił kwiatów aromaty—
Budził się w sennych gajach rój ptasząt skrzydlaty,
Powietrze drżało szmerem, brzmiał hymn nieustanny...

A ona mi szeptała: „Te kwiaty i zdroje,
To powietrze błękitne, wartkich rzek strumienie,
Te arkad pochylone nad niemi powoje,

Złociste światło słońca, grot wilgotne cienie,
Wszystkie szmery i wonie:—to królestwo moje,
Posłuszne na mój rozkaz, na jedno skinienie!

— „Czy pamiętasz?—szeptała—gdyśmy w księżycową
Noc płynęli przez jezioro milczące kryształy,
Gdy gwiazdy złotą wstęgą pod nami się ślały
A wiosła uderzały o fale miarowo?

Pamiętasz, że na jedno zakłęb moich słowo,
Na lekkie fal dotknięcie—wnet korowód cały
Rybek srebrnych wypływał... i snuł się pas biały
Przez dzwoniącą szelestem otchłan szafirową?

Nie jestem panią—przynaj!... Patrz! tam stoją
[srebrne]
Lilje—to na mój rozkaz czekają służebne—
A dalej, w pysznych szatach różnego koloru

Stoją wysmukłe malwy—damy mego dworu...
A tam... patrz! na jeziorze, w posrebrzanej zbroi
Płyną białe łabędzie—to rycerze moi.

„A tu—mój tron królewski! mówię bez zarumień—
Chwieję się nad nim brzozy liśćmi zielonemi...
Ztąd wiatr—kapłan przemawia słowa natchnionemi
Do kąśliwych komarów i pajęczych sumień.

Tu, gdy chcę myśl rozerwać ze smutnych zadu—
I znużona swe berło pochylę ku ziemi— [mien]
Wiesz—słowik budzi echa dźwięki srebrzystemi
I złote bajki gada mój poeta-strumień!

Nie zazdrość mu, że przy nim niby senna marzę:
Jakaś rzewna tęsknota z jego słów powiewa,
I choć goście-motyle są przy róż puharze,

Zostawiam ich wśród uczty i, gdzie strumień śpie—
Biegnę, by skołatana myśl utopić w gwarze: [wa,
Słowiki dzwonią—strumień szeptem—szumią
[drzewa.

„Wybieraj—dam ci wszystko!“—„Wszystko?“—za—
[pytałem—
Kryształowe pałace, świat marzenia senny!
Królowo! ja rozumiem jak twój dar jest cenny,
A jednak to już wszystko w swojej władzy miałem!

To państwo, co mi dajesz, było mym udziałem...
I kwiaty zwiędły, w gruzy runął gmach kamienny,
Szelesty, szmery - był to mój koncert codzienny,
W którym tylko jednego dźwięku nie słyszałem.

Królowo! nie pałaców dzisiaj mi potrzeba—
Daj mi serce niewieście, dar największy nieba,
Skarb anielski, to rzadkie na ziemi zjawisko!...

Gdy trudy mi ramiona brzemieniem obarczą,
Niech to serce się stanie osłoda i tarczą
I w dobrej czy złej doli będzie przy mnie blisko.

— „Masz to serce?“—spytałem.—Podniosła powoli
Żrenice, z których płynął jakiś blask uroczy—
—„Zrób wybór—wyszeptała... Ja mam sen proro—
Który ci serce takie odnaleźć pozwoli.“ [czy,

Wybrałem—ja... Zadrżała jak listek topoli—
Wielką ciszą błękitu spojrzwały jej oczy:
—„To ramię—rzekła do mnie—bluszczem cię oto—
[czy,
To serce cię nie zdradzi w dobrej czy złej doli.

Przy tobie zawsze będę!... Gdy pracą znużony
Pochylisz czoło—ja cię utulę ramiony
I uśniesz owionęty piersi mojej technieniem.

Zawisnę gwiazdą złotą ponad twojem czołem,
Będę twym duchem dobrym i natchnien aniołem,
Wyrazem pragnień wszystkich, wszystkich snów
[wcieleniem!“

Nie rzucaj róż na fale, bo popłyną z rzeką—
Lecz zawróć—że fal nurty, wstrzymaj mrok wieczoro—
[ra!

Zbudź się ze snu, gdy twoją pierś uciska zmora,
„Stań!“ krzyknij chwili szczęścia, gdy chwile wciąż
[cieką!

Nadszedł dzień straszny, ciężki jak trumienne wie—
[ko,
Z licem trupiej bledości, w postaci upióra — — —
Daremno pierś krzyczała—nie wróciło Wczora!
Lzy, marzenia, szła szczęścia—zostały daleko.

I cóż mi, że codziennie w wieczoru mrok szary,
Budzą się dzwony wspomnień, wstają z mogił ma—
[ry—
I cóż mi, że w noc każdą na skrzydłach anielich

Zjawia się sen mój dawny w lekkich mgieł obłoku?...
Dzień każdy mi podaje większych cierpień kielich,
I sercu boleść większą i większą łzę oku!—

Jak cicho srebrne plamy księżycy się kładną,
Jak ostro drzew na ziemi rysują się cienie!
Szmer wiatru w jedno długie zmienił się westchnienie—
Złote gwiazdy na niebie dzisiaj więcej bladną. [nie,

Jak cicho!... Czasem listki topoli upadną,
Przez powierzchnię jeziora lekkie przejdzie drze—
[nie...

Wzrokrzucam i słuch rzucam w milczące przestrze—
[nie:
Otcłan nieba i ziemi nie drży pieśnią żadną.

Gdy łódź mi samotnego po jeziorze niosła,
Gdy pękały fal kręgi—rybek korowody,
Zwabione ciszą nocy, pluchotaniem wiosła,

Tak jak zawsze, jak wczora, wybiegały z wody:
Lecz teraz, jakby trwogą przejęte tajemną,
Pytały: czemu ona nie płynie dziś ze mną?

Patrzyłem w rozjaśnioną błękitu głębinę—
U stóp mych były gwiazdy i niebo pogodne...
Nagle łódź mą zatrzymać chciały lilje wodne
I spytały mnie drżące: dlaczego sam płynę?

A kiedym milczał—gaje przycichłym szelestem
Coś mówiły, że nie był taki smutny wczora—
I wszystkie drzewa razem i fale jeziora
W szum jeden zapętały: dlaczego sam jestem?

I skarżyły się kwiaty, że nikt ich nie splecie
W wieniec piękny i wonny... skarżyły się drzewa
Na czyje czoło będą rzucały cień w lecie?

Skarżył się mały słowik: dla kogo zaśpiewa?
I łabędzie, prując jeziora kryształy—
I wszystko się skarżyło—a mnie lzy padały!

Kazimierz Głinski.

ELZBIETA FRENCH SHELDON.

Kobieta tak z natury, jak przez wychowanie, przez nakaz obowiązków, które ją przykuwają do domowego ogniska, jest mniej rzutna i ruchliwa, niż mężczyzna. Przywiązuje się ona silnie do drogich jej kątów, wspomnienia wychylają się do niej z ich zacienienia, przytem ustrój jej fizyczny jest mniej wytrzymałym na trudy dalekich podróży, na zmiany klimatu, i ztąd kobieta podróżniczka należy niemal do wyjątków wśród płci swojej. Że musi być ona odważna, że pierś jej potrzebuje odetchnąć powietrzem przestrzeni szerszej, że nudzi ją konwencjonalność powszedniego istnienia, jest rzeczą niewątpliwą; przypuszcza się też niemiłowoli, że jest ona samotna, że dom jej jest pustym; przecież Mrs French Sheldon, która, wstępując w ślady Stanleya, przewędrowała w tych czasach pustynie Afryki wewnętrznej, jest mężatką, jest przytem bardzo delikatną, wiotkiej kibiści i małego wzrostu, łagodnego usposobienia a głos jej jest szczególnie wdzięczny i melodyjny. Amerykanka z urodzenia, męża ma Anglika; bezdzietna, zamieszkuje jedno z tych wytwornych przedmieść Londynu, gdzie wille ludzi bogatych otoczone są wspaniałymi ogrodami; mogłaby zatem mieć istnienie spokojnie konwencjonalne, jak wiele kobiet w podobnych warunkach życia, gdyby nie talent pisarski, który ujawnił się już po zamążpójściu, najpierw w tłumaczeniu francuskiej powieści „Salambo“, dokonaniem z takim mistrzostwem stylu, że najpierw sam autor, Flaubert, przesłał jej podziękowanie piśmienne, a następnie biblioteka publiczna w Rouen prosiła ją o dar jednego egzemplarza z jej podpisem własnoręcznym.

Odważyła się wtedy na tworzenie oryginalne — napisała „Jenny, the circus Rieder“, obok tego pisywać zaczęła do czasopism londyńskich drobne powiastki, obrazy życia amerykańskiego, gdy naraż, spotkawszy się z opisem prac misyjnych między plemionami murzyńskimi Afryki wewnętrznej, wzruszyła się silnie ciemnotą i twardem życiem tych dzikich ludów, wśród których położenie kobiety jest najcięższem, najmoźniejszem. Przyjść z pomocą tej biedzie, rzucić tu coś promyków światła, coś pojąć o celach życia ludzkiego, stało się odtąd gorącym jej pragnieniem, które wkrótce silna jej wola w czyn wcieliła. Cicho, bez rozgłosu, poczęła studiować medycynę popularną, poczęła uczyć się chirurgii i puściła się na koniec w podróż do Francji, do Włoch, zawsze z myślą zebrania potrzebnych jej wiadomości, aż na koniec pożegnała w Neapolu towarzyszącego jej tam męża, a stanawszy na ziemi afrykańskiej, udała się przez Mombassę do Zanzibaru, gdzie sformowała sobie karawanę — najela pięćdziesięciu czarnych tragarzy i dziesięć kobiet, także murzynek, stanowiących jakoby straż jej przyboczną. Czarne te amazonki, uzbrojone w łuki, tak umiała przywiązać do siebie, że wierności ich mogła już być pewną; niemniej nosiła zawsze przy sobie dwie krócie dwururce, nabite kulami, a umiała już doskonale ich używać, ćwicząc się w sztuce strzeleckiej od pierwszej chwili powzięcia heroicznego swego zamiaru. Towarzyszyła jej przytem jedna kobieta biała, posiadająca też pewne wiadomości z zakresu medycyny i chirurgii; ona zaś sama nauczała się obok tego wybornie szyć na maszynie, przłać na kołowrotku, a narzędzia te i inne pracy kobiecej mieściły się w pakach niesionych przez tragarzy. Znajdowały się tam również najrozmaitsze przedmioty i lusterka, zegary, świecidełka ze szkła kolorowych, dalej gotowe odzienie, a obok tego broń europejska i najrozmaitsze narzędzia cywilizacji, którą szczepić trzeba tym ludom pierwotnym tak, jak dzieciom, bawiać wzrok, lub uderzając wyobraźnię. Każdy z tragarzy otrzymywał miesięcznie dwanaście dolarów strawnego, a tygodniowo dwa metry bawełnianej tkaniny kolorowej, za trud swój pracowity. Czuli się dostatecznie wynagrodzonymi, byli też chętni do pracy, czcząc Mrs Sheldon, jak wspaniałomyślną sułtankę białą, jak ją zwali.

Odbywała ona tę podróż w palankinie, to jest w obszernem krześle z poręczami, mającem namiot ponad sobą. Niosło ją czterech, podobnie jak i jej towarzyszkę, a ta podróż powolna, spokojna, z częstymi odpoczynkami, pozwoliła jej przyjrzeć się doskonale przyrodzie miejsc przebywanych — zapoznać się z nią dokładnie. Celem jej drogi była kraina Kilima N'dżaro, zamieszkała przez dwadzieścia pięć pokoleń. Droga wiodła wciąż przez gęstsze lasy pierwotnych lub przez trzęsawiska, zarosłe olbrzymią trześnią, wśród której kryły się w ilości nieobliczonej najróżnorodniejsze gatunki płazów, zwierząt ziemnowodnych, oraz ptaków, których nieprzeliczone stada, zrywając się z krzykiem przy huk danego strzału, tworzyły w powietrzu żywe chmury, rzucające cień swój na ziemię. A świergot ich, ich śpiew, nawoływania się, połączone z rzechotaniem płazów!... Były to koncerty natury, opisać się niedające, jak w ogóle pyszna wspaniałość tych lasów, w głębi których odważna kobieta posuwała się śmiało, umiając sobie radzić tak z naturą tą pierwotną, jak i z człowiekiem, nieoderwanym jeszcze od jej łona.

Nie ograniczyła się przecież na tem, co jej odwaga dała jej używać wśród tych widoków, przedstawiających się czarodziejsko oczom Europejczyka. Chciała uwiecznić sobie chwile tego widzenia; w tym celu też podróżna jej waliza mieściła aparat fotograficzny i kilka tek grubych zapamiętała się odbiciem, cennem dla nauki, nietylko krajobrazów, ale i portretami krajowców z różnych pokoleń, z różnych miejsc, w grupach, lub pojedynczo, a te ostatnie w wielkim formacie dla oddania charakterystyki — wyrazu oblicza. Znajduje się wśród tych jej zbiorów portret kobiety o twarzy ciemno-śniadej, z miłym, wesołym uśmiechem na szerokich ustach, lecz wargi nie są tak grube, jak a murzynów, przytem nos, czoło zdaje się charakteryzować raczej rasę indyjską, niż murzyńską. Oczy patrzą też wesoło, życzliwie i tu ujawnia się wyższa strona filantropijnej zasługi Mrs Sheldon: umiała ona przywiązywać do siebie tych ludzi pierwotnych, mogła też wskutek tego wejrzeć lepiej, głębiej w ich serca, w ich dusze i doskonale uchwycić wszystkie strony ich charakteru, które tylko w takim stosunku mogą być poznane prawdziwie, bo nie powierzchownie. Jak bardzo kochaną była, świadczą fakty. Nierzadko orszak przeszło stu, stu pięćdziesięciu ludzi stawał się dobrowolnie jej eskortą, a to bynajmniej nie w chęciach zysku, jedynie z czystej wdzięczności towarzysząc *białej sułtance*. Znoszono jej też bez chęci zapłaty nietylko produktu spożywcze; otrzymywała nierzadko dary: piękne muszle, wytworniejsze plecionki z włókien roślinnych a od jednej z kobiet, uważanej przez krajowców za piękność i należącej do rodziny w swoim rodzaju arystokratycznej, pierścionek, stanowiący coś jak amulet, bo mający strzedz od dzikich zwierząt. Pokolenia, które odwiedzała, umiała nietylko przeobrazić żelazo, miedź, mosiądz na potrzebne im narzędzia wojenne, jak oszczepy, tarcze, łańcuchy, które ciskają na nieprzyjaciela, ale wyrabiają pierścienie i łańcuszki ozdobne. Kobiety obwieszają się niemi na występy uroczyste i Mrs Sheldon spotkała raz sławną piękność miejscową tak obwieszoną niemi od szyi do pasa, a dalej od bioder do nóg, że brzęk ich przy każdym jej poruszeniu wytwarzał pewien rodzaj muzyki wcale dźwięcznej, zwłaszcza, że ozdobiona niemi strojnisia stapała z uroczystą powagą. Łańcuszki z muszli należą też do świątecznego przystroju kobiet, które wtedy drapują się z pewną sztuką w długi proste kawał bawełnianej lub wełnianej tkaniny. Nauczyć je szyć inaczej, niż za pomocą rybiej ości, z przekłutą w górze dziurką, jak u igły, należało też do cywilizacyjnych zadań Mrs Sheldon, ale nie na tem ograniczała się ona, bo z innemi jeszcze zamiarami przybywała tutaj. Cywilizacja moralności zaprowadzić, jako przygotowanie lub poparcie nauk religii chrześcijańskiej, niesionej przez apostołów duchownych; zaszczerpieć pojęcie skromności, godności kobiecej, nauczyć obowiązków wierności małżeńskiej, obowiązków matki, wychowującej dzieci swoje dla dobra: dla życia, któreby było uczciwe i użyteczne — to było jej zadaniem, którego spełnienie kazało jej puszczać się w drogę daleką i niebezpieczną, rzucić dom męża wiernie kochanego. Było to jej przekonaniem, że żaden misjonarz nie mógł tak, jak ona, kobieta, przemawiać do kobiety, nie mógł dotykać poufnie, z dokładnością zupełną różnych stron rodzinnego życia, które ona, w stosunku poufalszym, lepiej poznać i umoralnić umiała.

— Potrzeba jest kobietom kobiet misjonarek — napisała też w angielskim tygodniku *The Queen* — potrzeba ich nietylko w Afryce i potrzeba ich wszędzie, działających słowem i czynem i przykładem!..

Do zadań jej misyjnych należało też w części znacznej udzielanie czarnym matkom i żonom wiadomości z medycyny popularnej, z higieny zwłaszcza. „Jest to jedna z najważniejszych dla kobiety nauk — pisze. Często w edukacji dziewcząt braknie na nią miejsca; lepiej przecież ująć tu jeden z języków obcych, a nie opuścić tego, co łączy się bardzo ściśle z obowiązkami kobiety w rodzinie“.

Dodać tu należy, iż wychowanie powinno przede wszystkim zaszczerpieć w dusze, w serca młode takie, jak ona posiada, zapal dla szlachetnych, wyższych spraw, wyższych ścieżek życia, które wtedy pozwoli nam zawsze znaleźć sobie odpowiednią zdolnościom naszym drogę uczciwego czynu, nie dając nam nigdy zejść na ten padoł jego nizki, gdzie, według słów poety, ludzie są „jak żaby, co się w bagnie tają“.

M. I.

TOMCIO I ROMCIO

HUMORESKA

przez

ESTEJĘ.

(Dokończenie).

Wiotka sosienka spoglądała tymczasem na kogoś w kapelusiku windhorście, otoczonym granatową wstążką; — ten ktoś trzymał laskę z toporem, góralską, ciężką, jakoby prosto z Krzywiana wracał lub z Krzepaka, ale „garniturek“ miał świeży, w którym snadź tylko po deptaku przechadzał się dotąd.

Ten ktoś cudne miał oczy czarne i wąsik czarny, i włosy czarne, — ten ktoś takim był ślicznym chłopcem, aż się jaśniej na Michasiowej zrobiło, gdy się u jej szczytu ukazał.

Ten ktoś rozglądał się ostrożnie, ale z wielką ciekawością, — i mruknął w końcu:

— Tak, to tasama stara, na której tak „piramidalne“ wrażenie zrobiłem; czemu ona się tak zlekła? Bo się zlekła widocznie.

Ja jej w życiu swoim nie widziałam. To tasama stara; a obok niej — *sacrébleu*, co za prześliczna osobka! Wszyscy święci aniołowie! Co za klasyczna osobka!

— Przejdę. Przejdę, jakby nigdy nie.

Stara gotowa paść trupem, jeżeli znowu tak piorunując na nią podziałam, ale przejdę; — niechże mam satysfakcję tamtę lepiej zobaczyć.

I przeszedł, — przeszedł, zukosa tylko spoglądając. Aż tu babcia wnuczkę chwyta za ramię i raptownie tyłem odwraca.

— Nie patrz! — wola, — nie patrz! — to on, to ten szalapat, niegodziwiec!

Wnuczka zdążyła się tylko profilem wykreślić, — ale jakim profilem!

— Wszyscy święci pańscy! — zawołał w duchu młodzian w windhorście, — aż mnie mrówki przeszły. Ale czego ta staruszka może chcieć odemnie?

Szedł tak szedł i namyślał się, i badał pamięć swoją i przystawał, i znowu szedł, aż w końcu uderzył ręką po czole i zawołał: — Tam do licha! Pewnie mnie znowu biorą za Tomcia. — Co ten

łobuz przeszkrobał tej staruszcze, że taka na mnie nielaskawa?

Tymczasem babcia z wnuczką same zostały na Michasiowej; ten, który taki popłoch wywołał między niemi, znikł im z oczu.

— Widziałas?

— Widziałam — odparła osóbką w bieli, oczy rączkami zasłaniając.

— Udawał, że nas nie poznał.

— Ale-bo też, babciu, miał słusność, — odparła wnuczka, siadając na ziemi w pełnej wdzięku postawie. — On może mieć żal do nas. Ja taka głupiotka byłam wtedy. Czemu, czemu ja byłam taka nie-dorzeczna? — i znowu rączkami oczy przysłoniła.

— Cóż znowu, kochanko? Chodził za tobą jak cień, — jeździł za tobą, oświadczył ci się, i co? i ulotnił się jak kamfora bez pieprzu — i co? I my go może mamy przepraszać?

— Tak; chodził za mną, jeździł za mną, bo ja mu głowę zawracałam, — oświadczył mi się, bo ja tak chciałam, — i kochał mnie i ja go kochałam. A cóż on temu był winien, że go ojciec telegramem zawezwał? Ja mu wasy opaliłam i śmiałam się jeszcze, a on nie ma mieć żalu do mnie? Napisał przecież, — przepraszał, błagał, bym na niego czekała trzy lata. Młody był wtenczas, — miał nauki pokończyć, — i błagał, żebym czekała.

A ja co? Obraziłam się jakby jaka pensyonarka ograniczona, — i odpisałam, żeby mi się na oczy nie pokazywał, — że wychodzę za mąż za Kazia.

I on nie ma mieć żalu do nas! — Jaka babcia niesprawiedliwa! Strach, jak niesprawiedliwa!

Babcia głową potrząsnęła. — Może to prawda — bo to kilka lat temu; to tam jeszcze młode było. Dzieciak, o! mi nie trzeba było pilnować. Ale tak myślałam, że wczesnego ożenku nikt nie pożałuje. Tylko mi się dziwnie wydało, że się rodzice nie śpieszą pokłonić o ciebie, — ale myślałam — pomaleńku, po maleńku — wszystko się zrobi. A tu ten bisurman przepadł! No, tego się nie spodziewałam. Ale coś tam musiało być — musiało, — bo nie byłby listu pisał, gdyby się nie kochał.

Myszka zadumała się głęboko, babcia także.

Stara sosna mówiła do młodej: — Teraz inaczej tutaj! Dawniej, bywało, pszczoły tylko brzęczą i motyle latają i jedno drugiemu krzywdy nie robiło. Jak wiosna przyszła, śniegi topniały, to się tu zielono robiło i strojno, — raj na ziemi! a teraz? wszystko zdeptane, brudne, połamane — gdzie spojrzeć ludzie i jeszcze ludzie — aż się życie przykrzy, — już te góry nie do nas należą, nie do nas!

Młoda sosenka pocieszała ją, mówiąc: — Przecież i teraz słońce przygrzewa i świeci wesoło; tam dalej mech pyszny — a paproci bez liku. — motyli mnóstwo i pszczoł także nie brak; podziwiają nas i cieszą się nami, ludzie nas kochają. Jaka babcia niesprawiedliwa! Strach, jaka niesprawiedliwa!

Stara pokiwała iglastymi gałązkami i rzekła zcichą: — Może to i prawda — ale tak dawniej lepiej bywało — i zadumała się głęboko.

Cisza wielka panowała na Michasiowej; tylko promienie słońca tańczyły po umajonej ziemi, tylko muszki pobrzękiwały — a w dali świerszcze i polne koniki odzywały się srebrniuchnym głosikiem.

Aż babcia rzekła:

— Wiesz, Myszko, że to już pewnie czas na moją kąpiel.

— Pewnie, babciuniu.

— Pójdziemy?

— Niech babcia idzie naprzód i przyśle tu po mnie Kasie; kasia mnie odprowadzi, bo ja chciałabym zostać jeszcze chwilę i domalować sosnę.

— A nuż tamten wróci?

— O nie wróci! niech się babcia nie boi, przecież udawał, że nie poznał.

Ale pocichutku serce jej mówiło: — Może wróci, może.

Babcia poszła, posłuszna jak zwykle.

Tymczasem serce Myszki nie omyliło; — on wrócił.

— Przestraszyłam panie — rzekł zdaleka.

Myszka obie ręce wyciągnęła do niego.

— Myślałam, że mnie pan nigdy nie daruje, tak mi było przykro!

Młodzieniec w windhorście pomyślał: — Aha! to więc nie Tomecio zawinił, tylko ona. Już zaczynam

zdawać sobie sprawę. — Przebaczyłem, dawno przebaczyłem. Nie miałbym pani przebaczyć?

— Już żadnej urazy pan nie czuje?

— Ani odrobiny!

— Mój Boże! jakie to dawne czasy!

— Jakie dawne!

— Trzy lata!

— Trzy lata!

— A babcia się tak przestraszyła.

— To babcia pani?

— Nie poznał pan?

Młodzieniec prędko się opanował. — Ale jakże! naturalnie, że poznałem, tylko tak się nie spodziewałem zobaczyć panie i zupełnie jestem odurzony.

— Czemuś pan przeszedł i nie ukloniłeś się?

— Widzi pani... ja... mnie, ta tak słońce olśniewa na Michasiowej. Potem zdawało mi się, że babcia pani gniewa się na mnie.

— Gniewała się bardzo, ale ja jej wytłumaczyłam, że to przecież nasza wina.

— O! ja tego nie mówię.

— Bo pan bardzo dobry! Pan zawsze był najlepszym chłopcem pod słońcem. Jak panu wasy urosły! Mnie wtedy tak było przykro. Co się z tym drugim stało?

— Z kim?

— Z wąsem.

— Aha! z wąsem. No, nie osobliwszego: odrósł.

— Odrósł prędko?

— Bajecznie prędko.

— Jaka ja wtedy byłam niegodziwa!

— Pani? tego, to ja z pewnością nie pamiętam.

— Bo pan taki dobry, panie Tomaszu.

I tak się to zrobiło, że sosny szumiały a młodzi przebaczały sobie wzajemnie urazy — i gdy kilka tygodni minęło, a Tomecio przyjechał do Krynicę stęskniony za bratem, Romecio przyznał mu się, że jest po słowie.

— Z kim?

— Z Myszką, pamiętasz?

— Do stu tysięcy! Mój drogi Romeciu, jesteś najszcześliwszym z ludzi.

— Jestem — nie zazdrościsz?

— Ja? tobie??? No, a ona co o mnie myśli? darowała mi?

— Najzupełniej; dawno jej się przyznałem, że nie jestem tobą. Z początku nie chciała mi wierzyć, ale teraz dowodzi, że nazajutrz już kochała mnie więc-j, niż ciebie. Doprawdy, nie jesteś zazdrośny? powiedz prawdę.

— Mój drogi! Co tobie w głowie? przecież wiesz dobrze, jak bardzo kocham Zosię. Najszcześliwszy jestem, że ci się Myszka podoba. A masz pieniądze?

— Ba!

— Żeby ci się tak nie przytrafiło, jak mnie one-go czasu.

— Nietylko, że mam pieniądze, ale dziś miałem odpowiedź od rodziców, że się zgadzają i że mnie błogosławią i że przyjadą podziękować babci za Myszkę — no, i jestem bardzo szczęśliwy, dzięki tobie.

Kilka miesięcy później Tomecio był drużbą Romecia, — a Myszka, aby braci rozróżnić, aby uniknąć niejednej pomyłki, przywiązała jednemu czerwona, drugiemu niebieską wstążeczkę na rękawie.

Babcia nianczy prawnuki u państwa Romanowstwa, ale do tej chwili jeszcze nie wierzy, że ten, który tak tajemniczo zniknął z Wiednia, nie jest tym, który został mężem Myszki, i pomimo wielokrotnych próśb wnuczki, obstaje za tem, by Romecia Tomeciem, a Tomecia Romeciem nazywać.

K O N I E C.

Wystawa w Chicago.

Odkrycie Ameryki pobudziło Amerykanów do popisania się przed światem ze swym olbrzymim przemysłem. Zaledwie pierwsza myśl uczczenia pamięci Kolumba z powodu czterechsetnej rocznicy wielkiego wypadku kielkować zaczęła na nowym lądzie, przedsiębiorczy duch Stan. Zjedn. postanowił drogą dla świata cywilizowanego pamiątkę święcić wystawą powszechną przemysłu, kunsztów i sztuk pięknych. Obierając taką formę dla obchodu rocznicy wiekopomnej, Amerykanie nie potrzebowali przykładu Francji, która w r. 1889 swoje stulecie rewolucji również wystawą przemysłową obchodziła, bo już sami w r. 1876 uświetnili rocznicę ogłoszenia się państwem niepodległym w podobny sposób. Z czcią czysto duchową dla epoki, która wydała z siebie śmiałego żeglarza i jego towarzyszy, połączyła się prawowita duma z własnego rozwoju pracy, z geniuszu cywilizacji materialnej, połączyły się i interesa czysto już zarobkowe, od wszelkich wystaw przemysłowych nieodłączne, — i pod działaniem tych trzech bodźców powstaje rzecz wspaniała, jakiej świat rzeczywiście jeszcze nie widział. Wszystko, z czem od pierwszej wystawy londyńskiej w r. 1850 występowały narody tak potężne i bogate, jak Anglii i Francuzi, zaćmić ma, i prawdopodobnie zaćmi, przyszłoroczna wystawa amerykańska.

Na biesiadę przemysłową wszech narodów obrano punkt położony na granicy bliższego Europy wschodu z dalekim, ku Oceanowi Spokojnemu biegnącym, zachodem — punkt dogodny może dla samych Stanów Zjednoczonych i całej Ameryki Północnej, ale nie bardzo dogodny dla Europy, która od brzegów Atlantyku ma jeszcze do miejsca przyszłej wystawy setki mil drogi. Wyborowi wskazę nie przewodził sam tylko wzgląd dogodności, jak nie wpływał nań wyłącznie i w r. 1876, kiedy urządzano wystawę powszechną w Filadelfii. Wówczas pokolenie dzisiejsze z czcią synowską szło śladami przeszłości, pamiętając, że w mieście bratniej miłości, założonem przez Penna, spełnił się wielki akt z 4-go Lipca 1776 r. Obecnie historia nie dawała żadnego oparcia, bo Kolumb, jak wiemy, nie dotknął się nawet lądu Ameryki Północnej i nie miał go ani w swej żądzy umysłowej ani też w wyborach. New-York ma położenie dogodniejsze dla Europy; każde znowu miasto nad Mississipi leży dogodniej dla samych Stanów Zjednoczonych, dla Ameryki Środkowej i Południowej. Jeżeli wybór padł na Chicago, to dla tego, że ono samo rwało się do niego — bo i ono samo chciało się także przed światem pokazać, pochwalić, świat sobą zadziwić. I ono także jest wytworem przemysłu, geniuszu cywilizacyjnego i wolności amerykańskiej, a jest przytęm ogromem, tak szybko i potężnie wyrosłym, iż równego pod tym względem daremnie-byśmy w dziejach świata szukali.

Trzydzieści lat temu zaledwie słyszano w Europie o mieście amerykańskim Chicago. W końcu przeszłego wieku tuziemcy amerykańscy mieli w jego okolicach jeszcze koczowiska wśród puszczy leśnych nad jeziorem Michigan. Rzadko kiedy zapuścił się w te dalekie strony jaki śmielszy *trapper* lub podróżnik. Na początku tego wieku o stanie Illinois, w którym Chicago jest dziś miastem głównym — ale nie stołecznym, jeszcze nie marzono. Skromniejsze nawet pojęcie „terytorium“ wcale nie istniało. Puszcze na południe i wschód od jeziora należały do Boga, do Indian i dzikich zwierząt, których tu była moc nieprzebrana. W roku 1815 założono pierwszą *faktoryę*, jak Anglii nazywają swoje kantory handlowe w krajach, które zdobywają dla swego handlu. Skupowała ona skóry od Indian i własnej skóry nieraz nastawić też musiała. Zwolna w krainie dzikiej rąbano bory, budowano osady, wycinano drogi, wprowadzano cywilizacją europejską, a gdy już natężenie jej wraz z samem osadnictwem wystarczało do

zapewnienia bezpieczeństwa, duch bogactw parł śmielsze natury ze wschodu ku przedostatniemu z 5 wielkich jezior amerykańskich i na żywej olbrzymiej, jakby wyszłej prosto z rąk Stwórcy naturze szczepił życie własne: pracy, rozumu i — namiętności. W r. 1833 miało Chicago 175 domków — wśród nich kościół i szkołę — i 550 mieszkańców. W r. 1871 liczyło już 300.000 mieszkańców. W Październiku tego roku nawiedził je straszliwy pożar, który obrócił w perzynę najbogatszą dzielnicę. Szkodę oceniono na 200 milionów dolarów, ale i większe pokryłaby przedsiębiorczość amerykańska, bo Chicago było już wówczas znakomitem ogniskiem handlowym, pośrednikiem między zachodem a wschodem, między południem a północą. W dziesięć lat później nie było już śladów klęski, a były dowody żywotności niesłychanej. W r. 1880 miasto miało przeszło półmilion mieszkańców, a w roku 1890, po upływie nowych lat dziesięciu, spis ludności wykazał w niem *milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi*. I na taki wzrost olbrzymi wystarczyło lat sześćdziesiąt!

Ogromne *emporium*, robiące corocznie na jeden miliard 375 milionów dolarów obrotów handlowych, mogło sobie pozwolić na zaproszenie do siebie całego świata. Wystawa, nazwana na pamiątkę rocznicy „Worlds Columbian Exhibition“, kosztować ma 19 milionów dolarów, a rzeczywiście kosztować będzie jeszcze więcej. Samo miasto pokrywa z górą czwartą część wydatków; umyślnie wypuszczona pożyczka dostarczy 6 milionów dolarów; ogromną resztę, wynoszącą 8 milionów, spodziewają się pokryć biletami wejścia. Wołec tego, że ostatnia wystawa paryzka przyniosła niecałe 20 milionów franków, nadzieje amerykańskie wydają się wielu dalej stojącym przesadzonemi. Milionem przecież nie trudno będzie znaleźć miliony. Jakoś sobie ci Amerykanie poradzą. Wystawa będzie miała tyle pońet i wabików, tyle punktów przyciągających i lekką i poważną ciekawość, tyle nawet ognisk rozpalonych dla myśli ludzkiej, że zbiegowisko ludów w Chicago powinno być wielkiem, większem może, niż na którejkolwiek bądź dawniejszej wystawie świata. Obok popisów przemysłu, rolnictwa, sztuk, znajdzie dla siebie miejsce wystawa specjalnie kolumbijaska: wszelkich zabytków, odnoszących się do dziejów odkrywania Ameryki i samej działalności pierwszego odkrywcy. Wystawa pedagogiczna, galerie sztuk pięknych, historyczna wystawa środków komunikacyjnych, okazy mieszkań wielu ludów, zwłaszcza amerykańskich, wzbogacą katalog i ilościowo i jakościowo w sposób dotychczas niebywały. Praca kobieca poraz pierwszy wystąpi w tak indywidualnej organizacji, z taką siłą i rzetelnością, jako rzeczywiście i nawskroś kobiece. Miasto kwiatów — ogrodnictwem zakasuje i Londyn i Paryż. Nawet z hodowlą ryb wystąpi na taką skalę, o jakiej dotychczas kontynent europejski nawet nie marzył.

A na tem wszystkiemu osnuwać się będzie mogła myśl ludzka, — osnuwać się koniecznie będzie musiała, gdyż wystawa, powołując wytwórstwo wszelkie do popisów, powoła zarazem i rozum i wiedzę, nietylko rodzimą, ale i powszechną, do narad nad pojedynczemi działami pracy przemysłowej, nad postępowi myśli ludzkiej stosowanej do natury, nawet nad stosunkami społecznymi. Obszerne sale przyjmą gościnnie każdego, kogo czynny zawód życia upoważnia do włożenia i swojej także cegiełki w budowę powszechniej wiedzy i umiejętności praktycznej. Na kongressy rzeczoznawców liczą bardzo wiele Amerykanie i spodziewają się po nich dużo światła dla siebie i dla świata, — i ta rozumowa, naukowa strona wystawy utrwali ją niejako, uczyni nieustającą, byt jej przedłużać będzie przez długie jeszcze lata po zamknięciu materialnego, wszechświatowego popisu, po rozebraniu nawet budynków i zapanowaniu głuchej pustki tam, gdzie za dobre pół roku roić się ma codziennie po 100.000 ludzi, — tyle bowiem potrzeba, aby przez cztery miesiące na wystawę wyznaczono zebrać owe 8 milionów.

„Miasto kwiatów“ musi być i miastem ogrodów. Samych parków publicznych ma dwadzieścia ośm, a przed wystawą jeszcze zyskać ma

park okolny, na wzór plantacyi krakowskich. Na wystawę oddano dwa parki: przytykający do jeziora „Jackson“ i dalszy, ku zachodowi „Washington“, pierwszy 586, drugi 371 akrów powierzchni, odległe od siebie o milę angielską. Do nich przybywa 80 akrów gruntu przy drodze łączącej oba parki, „Midway Flaisance“. Tu staną domy i całe ulice narodów świata, dając widzowi wystawę etnograficzną, historyczną i współczesną, naśladowniczą. Ogólna przestrzeń 1.037 akrów równa się dwudziestu dziewięciu włokom. Wystawa paryzka nawet czwartej części tego obszaru nie zajmowała. Urządzenie samej powierzchni, krajobrazowe jej urozmaicenie było najpierwszem zadaniem ogromnego komitetu wystawy, złożonego ze stu sześciu osób. Sąsiedztwo jeziora pozwoliło zbudować w małych rozmiarach drugą Wenecję; po lagunach jej będą się uwijały łodzie elektryczne. Ogrodniczy ze wszystkich Stanów współzawodniczą już ze sobą w przyozdobieniu całego placu wystawy. Wielki glob ziemski, z koleją wijącą się węzłem, zdaleka przyciągać będzie zaciekawione oko. Oprócz osobliwości zebranych na specjalnej wystawie Kolumba żywe za jęcie wzbudzą okazy środków przewozowych, pierwotnych wozów i łodzi, które rozrosły się w pociągi kolei żelaznych, w wielkie pancerniki wojenne, zaćmiewające wszystkie owe bajeczne lewiatany. Na sam model takiego okrętu, według najnowszej amerykańskiej konstrukcyi, wydano sto tysięcy dolarów.

Dla spotęgowania jeszcze ciekawości postanowiono zgromadzić w końcu Kwietnia przyszłego roku floty wszystkich narodów w Chesapeakebay pod historycznem Hampton Roads, na wybrzeżach Marylandu i Wirginii, aby ztamtąd wyruszyły do New-Yorku i w tej metropolii nowego świata odbyły wielką defiladę. Śmielsi marzą nawet o tem, jak zebrane okręty płynące będą w górę Potamaku i jak w stolicy związku złożą hołd od całego świata człowiekowi, który był „pierwszym w wojnie, pierwszym w pokoju, pierwszym w sercach swych ziomeków.“

(Dokończenie nastąpi).

MANIJA K

CHARAKTERYSTYKA

przez

Helenę Cajzynger.

Była to sobie wioska, jak wiele innych. Miała zwykłych rozmiarów dworek, do obszerności majątku ściśle zastosowany, takisam, jak wszędzie niemal, sad owocowy, rozpoczynający się kilkoma klombami kwiatów a kończący stawem, który wody swoje wlewał do kręcącej się w nizinie łąk i moczarów wartkiej rzeczulki. Tam gdzie się staw w potok przemieniał, stał młynek niewielki, o dwóch kołach, pleśnią zieloną porośnię, w dali pola łagodnym spadkiem chyliły się ku nizinie szmaragdowej łąki.

Tak się przedstawiał widok z jednej strony.

Z przeciwnej strony ciągnęła się, poza drogą do zabudowań dworskich wiodącą, wieś z kilkudziesięciu chat właściańskich złożona, a zabudowana w krzyż, po obu stronach tegosamego strumienia, który, okrążywszy całą dworską siedzibę i przyległe łąki, zakręcał się raptownie, aby i kmieci własności dobroczynnego chłodu użyć. Poza wioską stał na wzgórzu modrzewiowy kościółek z futrynami okien na czerwono malowanymi, które jaskrawo od ścian wiekiem poczerńnionych odbijały. Obok plebania z cienistym sadem, a naprzeciw cmentarzyk wiejski oparkaniony dokoła kamiennem ogrodzeniem.

Słońce chyliło się ku zachodowi; wieczór czerwcowy, pogodny i cichy, zlewał na tę siedzibę ludzką urok niewymowny, dostępny dla każdej duszy spragnionej dobra i szczęścia cichego, a wszechwładny dla tych, co się wśród szmeru tego potoku i szumu sosen w tych lasach wychowywali z dzieciństwa.

Drogą sadzoną lipami, która obok kościółka ku widniejącemu w niewielkiej odległości miasteczku prowadziła, szedł człowiek w letnim płóciennym surducie i słomianym kapeluszu. Zdażając od miasteczka ku wsi, przystawał często i przysłaniając ręką oczy od rażącego blasku zachodzącego słońca, oglądał się poza siebie. Wyrażnie spodziewał się czegoś czy kogoś z tamtej strony.

Był to Ignacy K. właściciel tej wioski, który śpieszył ku domowi, pragnąc nie pominąć wieczornego swego w czynnościach gospodarskich uczestnictwa. Przechodząc koło plebanii, pozdrowił siedzącego na ławeczce w ganku proboszcza, a na pytanie jego: czy nie jadą? — odpowiedział krótko:

— Dotąd nie widać. Nie wiem co to znaczy.

— Przyjadą, przyjadą. Bądź jegomość spokojny.

— Daj Boże!

Pożegnano się, a pan Ignacy pociągnął do domu, aby swojemi uwagami podzielić się z żoną.

— Niema dotąd chłopców — odezwał się, wchodząc do pokoju.

— Przyjadą. Dla czego tym razem jesteś niepokojniejszy niż zazwyczaj? Wszak dotąd ja zawsze niecierpliwiej wyglądałam ich przybycia?

— Bo to tak widzisz moja jejmość „morze przepłynął, na Dunajcu zginął“. Obaj niby szkoły dziś kończą, a zarazem zaczyna się dla nich konieczność obrania drogi jakiejś na przyszłość. Toż to zadanie nie lada, bo chybiona droga, to życie chybione, a źle to już, kiedy nawracać i poprawiać przychodzi. Za krótkie na to życie człowieka.

— I któryż z nich niepokoi tak ciebie w tej chwili?

— Któryżby? Tomek, zawsze Tomek!

— Uprzedziłeś się. Bóg widzi. Dla tego, że mniej ufny w siebie, mniej zdecydowany, mniej śmiały może, ty sędzisz, że on już sobie drogi właściwej nie znajdzie. Poczekaj, bądź cierpliwym; ja przekonana jestem, że ten chłopiec dokona rzeczy niezwykłej, że osiągnie co zamierzy, że innym jeszcze drogę pokaże.

Jaka też ta miłość macierzyńska szczęśliwa, chyba dla tego, że niewidoma — z uśmiechem pobłażliwym odpowiedział pan Ignacy. — Nie widzieć tego, co bije w oczy, a dopatrywać się tego, czego niema!

To już sprawa czysto kobieca. Przecież mnie o niechęć do dziecka własnego, i to dziecka dobrego, jakim jest Tomek, posądzić nie możesz, ale jeżeli między nami ma być mowa o nadziejach rodzicielskich, to już chyba nie kogo innego, jeno Henryka wolno nam mieć na myśli. I zdolności i umiejętność jednania sobie ludzi i powierchowność sama, wszystko przemawia za tem, że drogę przez świat potrafi on sobie wynaleźć, i że choć nie jest najstarszym, po nas jednak głową rodziny będzie zawsze on, a nie Tomek.

Zresztą ja ci powiem szczerze, Tomek to dla mnie samego zagadka jeszcze zupełna, a daj Boże, żeby taką zagadką nie był i dla siebie samego. Wiecznie szukający zazwyczaj nie znajdują, a jemu tak jakoś patrzy z oczu, jakby się na coś oglądał, czekał, wybierał, szukał. Ja ci się przynajmniej, że mnie to niecierpliwiło w nim od dzieciństwa, i jeśli to tak dalej ma być, to nie wiem, czy on znajdzie?

— Pragnę z całego serca, ale powiadam wprost, że wiary w to nie mam.

To nie mężka sprawa, taka chwiejność i taki namysł niezrozumiały zwłaszcza w jego wieku. Zresztą może się to i zmienić na korzyść, i z pewnością nikt sobie tego bardziej odemnie nie życzy, ale muszę przynajmniej, że to, co jest, nie odpowiada zupełnie moim pragnieniom.

— A wytrwałość jego, gdy się raz już zdecyduje, czy masz za rzecz tak małą?

— Nie przeczę, że ta wytrwałość jest, gdy się już raz nareszcie na nią zbierze, i były, prawdę rzekłszy, dowody na to w jego krótkiej, bo dopiero szkolnej, karierze; ale czy to wytrwałość, czy upór, takżebym z pewnością określić nie mógł. Zresztą zobaczmy. Tymczasem jest o czem myśleć, bo ich dwóch, a są też i dwie siostry, a że majątek jeden i nie tak znowu wielki, więc i tej determinacji potrzebaby tu dosyć prędkiej, bo po prawdzie czasu do stracenia nie będzie. A skoro ty tak stronę faworyta swego gorąco bierzesz i bronisz go, to już mu tam wedle sił rozolucyą jakąś pomagaj, żeby się z Henrykiem razem do roboty jakiejsz zabrali, bo już się i tak na młodszego brata w szkołach ze skończeniem ociągnął, więc do brzeby było, żeby ta mitrega była w życiu ostatnią.

Rozmowę rodziców przerwał turkot zajeżdżającej bryczki.

Młodzi chłopcy powracali pod dach rodzicielski po egzaminach dojrzałości, a było to w czasach, kiedy kwalifikacya ukończonych szkół sama jedna wystarczała do otwarcia drogi narodzić.

Zadowolenia rodziców, sióstr i samych aspirantów do kariery w życiu jak można najświetniejszej opisywać nie będziemy. Z małemi odmianami działo się tu to wszystko, co w podobnych warunkach dziać się zwykło gdzieindziej.

Tesame uciechy, następnie takie mniejwięcej, jak wszędzie w rodzinach, narady i dyskusye, kiedy przychodził na stół wybór powołania dla każdego z braci. W tem wszystkiem panu Ignacemu dziwnem wydawało się, to, że Tomek, którego brak inicjatywy on sam za jednoznaczny z ociężałością symptomat uważał, tutaj dziwnie się szybko na wszelką przez ojca stawianą propozycyą godził.

W domach szlacheckich obyczaj panował, iż najstarszy w rodzinie ojczysty zagon w posiadanie obejmował, spłatę rodnictwa i byt dożywotni rodziców biorąc na siebie. Była w tem część wielka słuszności, bo najstarszy wiekiem najpierw się żenił, a wziętym posagiem i jakimś choćby uszczupleniem fortuny z kłopotów działowych się wydobywał. Dla młodszego syna marzył pan Ignacy o uniwersytecie, podczas gdy flegmatyczny, czy apatyczny Tomek właśnie jakby przez naturę własną do ociężałej funkcyi rolnika zdawał się być przeznaczonym.

Jak w większej części rachub ludzkich, tak i tutaj stało się wprost przeciwnie.

Henryk objawiał teraz wielkie zainteresowanie się sprawami gospodarskimi, do których rozgorzał naraz z całym, krewkiemu temperamentowi swemu właściwym, zapalem. Oile z jednej strony dogadzało to ojcu, gotowemu wszelkie marzone doskonałości w ulubionym synu upatrywać, o tyle z drugiej strony nasuwało mu całe góry trudności, jakie do wyjednania na to koncesyi ze strony Tomka zdawały się nieuniknione. Tymczasem i tu miała być niespodzianka. Tomek przyjął taki stan rzeczy jako najnaturalniejszy, co wprawdzie zadawałniało ojca w najwyższym stopniu, ale przytem wywoływało w rannych sam na sam z małżonką rozmowach narzekania na jeden i ten sam zawsze motyw:

— Bierna to natura w tym chłopcu! Kiedy się waha, to bierze z brzoza pierwsze lepsze. Ani śladu tej energii, co u Henryka.

Miłosierdzie też to pańskie, że się taki piękny kawałek ziemi w takie gnuśne ręce nie dostanie, bo-by to człowiek jeszcze przed końcem życia na upadek swojej pracy patrzeć musiał!

Protest ze strony matki przychodził w takich razach niewatpliwy, ale, że pan Ignacy był w domu głową faktyczną, nie tylko tytułarną, więc ojciec zostawał przy swoim; dyskretnie przecieżył milczenie matki wcale nie miało znaczyć tego, że ona z przekonania swoich rezygnuje.

Do rodzaju krótkowidzów pan Ignacy nie należał bynajmniej; owszem, dla dzieci swoich pragnął światła jaknajwięcej, więc też i z nowym rokiem szkolnym wyjechali obydwaj synowie szukać wykształcenia zawodowego. Młodszy miał pracować

nad swoim uzdolnieniem rolniczem. Tomek po długich z rodzicami i bratem rozprawach miał studiować prawo.

Zanim jednak to prawo udecydowano, sporo prędkości z natury pan Ignacy wyexpensować musiał cierpliwości, dużo nakręcić głową i nazywać ramionami, bo osobliwe to zaprawdę było chłopię, ten opisywany przez nas Tomek. Proponował mu ojciec karierę lekarską: — zgadzał się. Mówiono o inżynierii — nie miał nic przeciwko temu. W końcu znicięrlipiwiony ojciec postawił szyderczo i teologią.

— Zapewne, że i nad tem wartoby pomyśleć — odpowiedział tonem zupełnego przekonania Tomek.

— Jakto! Więc i księdzem byś został? — pytał gorączkowo pan Ignacy.

— A dlaczego nie? — była odpowiedź.

— Macieź go! On czemkolwiek zostanie, choćby nawet księdzem — mówił ojciec, popierając oburzenie swoje dosyć dobitnem uderzeniem w stół.

— Choćby i księdzem, byle jak się należy.

— Jakże to? Więc zgodził się dziś, nie mając jeszcze lat dwudziestu, na to, żeby się nie żenić, nie mieć rodziny, pozostać tak sam jeden?

— Wielkie to jednak jest właśnie ułatwienie sobie zadania w życiu.

— A cóż u Boga Wszechmogącego jest zadaniem życia? — wołał pan Ignacy, którego zwykły w takich razach ferwor ogarniał.

— Rozmaite są zadania: — była odpowiedź flegmatyczna, ale tak dobitna, że ojciec, popatrzywszy uważnie na tego nieletniego dziwaka, kapitulować musiał i zakończył walkę to na drugi dzień podczas rannej konferencyi z matką — ostatecznem:

— Bóg-że tam raczy wiedzieć, co w nim siedzi!

Ostatecznie pojechał pan Tomasz, bo tak go odtąd zwać będziemy, na owe studia prawne, a brat jego Henryk do szkoły rolniczej, żeby się do zawodu gospodarskiego przysposobić. Państwo K. pozostali z dwiema córkami, kilkunastoletniemi podówczas dziećmi, sami, jak poprzednio, z tą jednak na korzyść ich różnicą, że tymrazem już synów jako w połowie postanowionych uważać mogli. Biedził się tylko zawsze ojciec przyszłością starszego syna, bo choć ten donosił stale, że mu nauki idą dobrze, że się nawet w obranem powołaniu coraz bardziej rozmiłowywać poczyną, to jednak ojciec twierdził teraz znowu, że taey, jak Tomasz, choć on taki ostrożny, zawsze tylko na łatwą strawę dla przemysłniejszego i bardziej przedsiębiorczego ogółu bywają przeznaczani.

Przyjeżdżali następnie synowie na święta i wakacje, i obydwaj zarówno żadnych rodzicom do niezadowolenia nie dawali powodów; tylko temu prawnikowi przyszedł coraz baczniej przypatrywał się ojciec, a w miarę jak się w tym charakterze rozglądał, coraz mniej ujemnych epitetów i niechętnych określeń słyszała matka.

— To będzie widać tylko taki chłodny kalkulator — mawiał teraz ojciec, a i to zaprawdę dziwne, bo to w tym rodzie takich nie bywało, a i ojciec jejmości — Panie daj mu wieczne odpoczywanie — także swojego czasu gorączka bywał co się zowie, i choć to zawsze ku chwale imienia służyło, szeroko o nim fama z tego względu głośli.

Czy to tam macierzyńskie serce więcej o synu wiedziało, czy tylko niepomyślnie przeczecia matczyne tak dziwnie swojego były pewne, dosyć, że teraz na wszelkie złagodzone o nim sądy dobrotliwie się uśmiechała tylko, kończąc każdą taką rozmowę w ten sposób naprzykład:

— Może on i kalkulator, czy chłodny — nie wiem — ale nie spodziewam się, nie zdaje mi się jakoś.

I tak sobie lata mijały. Rolnik, oczywiście, wykwalifikować się musiał rychlej, a że teraz i pana Ignacego lata przygniatać poczęły, więc i cały trud gospodarski zdał na syna, sobie jedynie głos doradcy zostawiając. Córki podrosły

także, że zaś rodzina to była zgodna, bogobojna, jednym słowem: nasza, więc nikt tu Henrykowi jego wszechwładztwa nie zazdrościł, tembardziej, że i on też ze swej strony do żadnych niechęci i zawisłości powodu nie dawał.

W kole młodzieży używał młody Tomasz K. opinii dobrej, nie należał jednak do wybitniejszych ani zdolności, ani innemi żadnemi pragnieniami, których pod owe czasy było niezmiernie wiele i różnorodnych. Zaliczano go w każdym razie do moderantów, ale tej zawsze kategorii, w której umiarkowaniu niechętni nawet samolubstwa dopatrzeć się nie mogli, bo zkadinał były dowody, że miał serce braterskie dla kolegów, a o instynkt zachowawczy egoistyczny nawet go się pomawiać nie godziło. I tak przebył swoje studia i nareszcie wydyplomowany, i odznaczony nawet, w progi domowe powrócił.

Zanim się jednak do obranego zawodu czynnie zabrać zdołał, serce jego przebyło cały wiek poważnej miłości, — lecz Tomkowi ta miłość dała nie-szczęście.

Wolno już było teraz matce z pozycei obronnej przejść w zaczepną i, codziennie popłakując serdecznie, wytykać małżonkowi bezpodstawność wszelkich o ukochanem dziecku sądów i opinii.

— Ot widzisz, jaki on kalkulator, widzisz jaki apatyczny, jaki niższy pod każdym względem od Henryka! Boże mnie strzeż, żeby tamtemu miała robić za to wyrzuty, bo gdyby i on nas tak porzucił, jak Tomek, nie do zniesienia prawdziwie byłby nasz los na starość, ale przyznaj, że się ciężko co do niego pomyliłeś i daj Boże, żeby ci tego gorzko żałować nie przyszło!

Pomrukiwał tylko w tonie połowicznej approbacyi pan Ignacy, poprzysięgając sobie w duszy, że jeśli kiedyś pozwoli Bóg, to już on prawo starszeństwa w rodzinie pod każdym względem gotów będzie najuroczyściej przyznać Tomaszowi. Nie-mało jednak wody upłynęło, zanim się te pragnienia ojcowskiego serca ziściły.

Wreszcie matka godziny modlitwy z płaczem zamieniła na godziny modlitw dzieckozynnych. Życie zrobiło swoje. Tomek porzuciwszy dawno zawód prawniczy, wracał teraz do domu rodzicielskiego. Wdzięczny był za radość, z jaką go powitano, za serce płacił sercem, odżył nawet w tej milej atmosferze rodzinnej; niemniej znać było, że się tam coś w tym człowieku zmieniło, zburzyło, czy przeinaczyło, a kiedy minęły pierwsze dni wymiany serdecznych uczuć, wpadał coraz częściej w zadumy, z których go wyrwać było nie sposób, z którymi się też powoli oswojono, tego rozbitka z morza miłości w spokoju zostawiając, za co on też najwyższą wdzięczność okazywał. Nie prześliznęło się po nim widać to wszystko, jak po tyłu innych: wyraźnie była to jakaś organizacya kamienna, i co tam na niej czas, losy i ludzie wyrzeźbili, widać tak już do ostatka dni jego wyrte być miało.

Nie grzeszyli synowie tego domu, broń Boże, jawną bezbożnością, a nawet powszechny indyferentyzm religijny, pokoleniu owemu właściwy, w domu pana Ignacego wcale tolerowanym być nie mógł; teraz jednak oddawał się pan Tomasz rozmyślaniom religijnym i praktykom tak dalece, że to już nie tylko domowników ale i dalszych uwagę zwracać poczęło. Odgadywała matka, że ta dusza do dna z onych przejść wyszła zraniona i stargana i wszelkie zasoby macierzyńskich swoich starań i drobnych niewieściach przebiegłości nawet, ku uleczenia dziecka oddać postanowiła. Wiedząc, że jest skrytym i w sobie zawsze zamkniętym, nie poruszała tego, co ku jego odrodzeniu obmyśliła, nigdy w najbliższym nawet gronie rodzinnem, ale nakołowawszy raz i drugi bezowocnie, gdyż jej sam pacyent z pomocą nie spieszył, zagabnęła go wprost: czyby to niedobrze było pomyśleć o zajęciu jakiegos stanowiska? o założeniu domu, a wreszcie niby tak nawiasowo i w końcu rozmowy, po-niewieściemu prawdziwie, o wyborze towarzyszy życia.

Smutnie uśmiechnął się na to pan Tomasz i, bynajmniej w replie swojej do matczynych fortelów się nie uciekając, odpowiedział poprostu:

— Moja matka najmilsza, niech tam już każdy

wedle sił własnych wywiązuje się Bogu z obowiązków swoich, a w tem spełnianiu powinności swoich niech baczy, aby nie nad możność nie przedsiębrał i aby raz wzięte brzemie dobrowolnie, z godnością i wytrwaniem dźwigał aż do trumny.

Jużciż ja beczynnym być nie myślę, bo-zbyt prędko bym się tak jak widzę, sam sobą wytrawił, ale i to wiem także, że ucieśnieniami ta reszta życia z pewnością nie upłynie. Nie prawdą to chyba jest, żeby w sercu człowieka na wszystkie wielkie miłości miejsce znaleźć się mogło, a moja uboga organizacja ostrzega mnie, że mniej, niż kto inny, od jednego uczucia do drugiego przechodzić mogę. To też mimo, że radbym wam wedle możności mojej wszelkiej pociechy przysporzyć, czuję przecież, iż moich dzieci ty, matko kochana, kołysać nie będziesz. Już ja tam nadołowałem w sercu mojem tyle uczuć, że mi ich wspomnienie do końca życia wystarczyć musi i powinno, a reszta to będzie chyba ciąg dalszy i dopełnienie, bo i nie przystoi mężczyźnie tak się rozpraszać i, jednego założenia nie spełniwszy, chwytac drugie bez rozważa. Zresztą ja ze sobą nie w porządku zupełnym jeszcze jestem i nie stałego i określonego powiedzieć-bym o sobie nie mógł. Coś się tam we mnie dopełnia w tych czasach; ja to czuję, a jak to już dojrzeje, to z pewnością, ty, matko najmilsza po Bogu, najpierwej o tem wiedzieć będziesz, a że nie godzi się aby na nas to pocziwe gniazdo kończyć się miało, więc niech tam już Henryk da wam tę pociechę, bo on też w rzeczy samej więcej do ludzi, niż ja, i łatwiej mu to przyjdzie, a nawet, jak sądzę, zupełnie będzie po myśli — dodał z uśmiechem. — Tymczasem, co do mojej kariery, to czas już istotnie obejrzeć się, bo to nie może dać zdrowia, którego zarówno, jak każdy inny, i ja potrzebuję.

Wkrótce z błogosławieństwem rodziców wybrał się pan Tomasz do stolicy, a chociaż szło z razu opornie, przecież znalazły się wpływy, które przeszkody przemogły i aspirant zdobył sobie posadę sądową i to nawet wcale, jak na początek, dobrze.

Kolledzy i znajomi a nawet ojciec w listach, robili mu wyrzuty za ulokowanie się dobrowolnie w takim cieniu, z którego może do końca życia nawet na światło Boże ukazać się nie przyjdzie, boć nie po to się ostatecznie doszło do końca zawodowego wykształcenia, żeby ugrzęznąć gdzieś w wydziale hipotecznym. On na to wszystko ustnie czy piśmienne jednobrzmiąco prawie odpowiadał, że to jest właśnie gałąź z jego własnym upodobaniem najlepiej odpowiadająca, że jest ze wszech miar zadowolonym, i że tu przynajmniej z ludźmi, a co najważniejsza, z samym sobą nigdy ścierać się nie będzie potrzebował, a to są chyba najcenniejsze warunki, w jakie życie uposażyć może.

— Dziwak—mówili ludzie.—Desperat, kiwając smutno głową powtarzał ojciec. Zostawimy go w spokoju—mówiła tamtych i temu matka, która czuła, że z tej głębi nie powierzchownego i lekkomyślnego z pewnością nie wyjdzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MYŚLI.

Często mylimy się i napadamy na osoby, zamiast na systemy. Lubimy sobie oszczędzać pracy myślenia.

H. Spencer.

Tak jesteśmy zajęci własnymi interessami i wygodami, że o ogólnych zapominamy.

Tenże.

Ludzie, to trzoda tucząca się złotem: dajcie im go jaknajwięcej, a zaprowadzicie ich, gdzie chcecie.

Napoleon I.

Kto nie czuje ciemności, nie będzie nigdy ogłądał się za światłem.

Buckle.

Świat stanowi wielkie państwo stopniowego rozwoju i własną siłą wznosić się winien do coraz większej doskonałości.

Carriere.

Powinniśmy się starać jak najwięcej zdziałać dla żyjących, dla następujących pokoleń: to nasz obowiązek, to cel naszego istnienia.

Comte.

Nienawidzę rzeczy będących li tylko zmyśleniem.

Byron.

Wszystkim ciałom rozdać chleba

Wszystkim duchom myśli z nieba.

Krasinski.

Oppozycya jest konieczną, jeśli jakikolwiek postęp ma się dokonać.

H. Spencer.

Prawda, dobro, piękno — mają swoje prawa. Co nie nosi na sobie piękna tych trzech potęg, może czas jakiś się podobać, lecz w końcu pobudzi do ziewania.

Diderot.

Narody bierne są wykreślone z Księgi historii.

Lindner.

Pożeranie ciała ludzkiego jest w oczach Boga mniej występkiem, niż dławienie myśli ludzkiej.

Draper.

Kochać—jest to pomagać.

W. Hugo.

Złe wszelakie znosimy cierpliwie, póki wydaje się nam nieuniknionem; staje się dla nas nieznośnem, jak tylko dostrzeżemy możność uwolnienia się od niego.

Tocqueville.

Gdy Pytagoras odkrył swoją znaną regułę, złożył bogom ofiarę z wołów. Odtąd wszystkie woły drżą, gdy jakaś nowa prawda wyjdzie na światło.

Birne.

Szlachetnie myśleć trudno, jeśli się myśli tylko o zdobyciu chleba.

Rousseau.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: Arkusz 6 tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

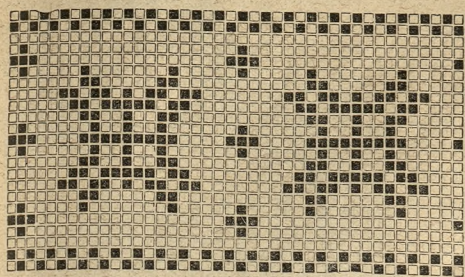
TREŚĆ: Pogawędka, przez Quisa.—Z zamkniętej księgi. Sonety, przez Kazimierza Glińskiego.—Elżbieta French Sheldon, przez M. I.—Tomcio i Romcio, humoreska przez Esteję (dokończenie).—Wystawa w Chicago. — Maniak, charakterystyka, przez Helenę Cazynger.—Myśli.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 44 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 9 Сентября 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.



Nr 1. Szlak do sukienki dziecinnej Nr 20 (ścieg krzyżowy).

Suknia dla panienki od 7—9 lat.

Rycina Nr 3. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 49—58). Sukienka z szewiotu granatowego, zapinana w tylnej części. Skrajać z podszewki fig. 49 jedną część złożoną wzdłuż środka; fig. 51 i 52, oraz z materiału fig. 50, 53 i 57 po dwie części, ale tę ostatnią złożoną wzdłuż środka z uwzględnieniem wystającego konturu; z podszewki fig. 56, po wykonaniu w przednich częściach z podszewki zaszepek i obłożeniu takowych, oraz pleców aż do linii białym wełnianym materiałem, wyłożyć fig. 50 i 53 wzdłuż linii po obłożeniu pleców materiałem.



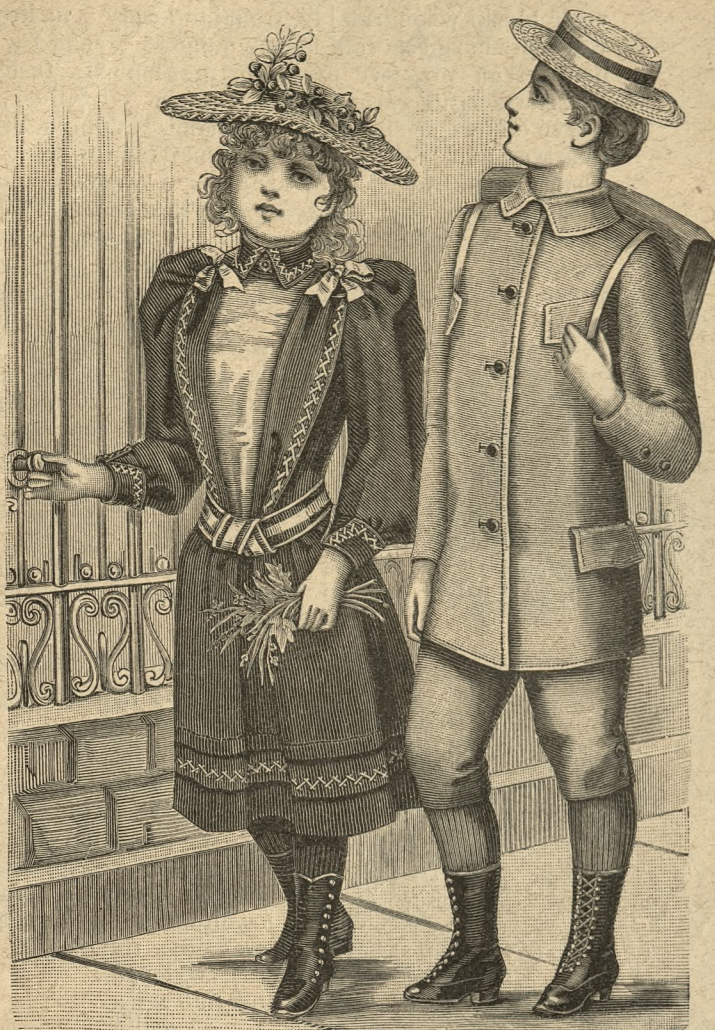
Nr 5—9. Wstążka z metalową kokardą do wachlarza, oraz brosze z aluminium.

Ułożyć w fałdy w dolnym i w górnym brzegu każdy $\frac{1}{2}$ na kropce, oraz dwa $\frac{1}{2}$ na jednej kropce i przyszyć mocno, $\frac{1}{2}$ zaopatrzyć lit. a na kropce a. Ozdobić tylny i przedni brzeg haftem wykonanym białym jedwabiem i podług znaków przyszyć część do podszewki wzdłuż linii. Po połączeniu części podług cyfr przyszyć kołnierzyk połączony z opaską szyi. Wykonać szwy zewnętrzne w rękawach z podszewki, zmarszczyć materiał podług wskazówek w równych odstępach, przyfastrygować do podszewki i wykonać szew wewnętrzny. Ozdobić rękawy kłapkami haftowanymi i wszyć w stanik. Otoczyć paszkę wstążką białą $2\frac{1}{2}$ c. szer. i granatową 5 c. szer., związaną podług ryc. na ramionach. Spódnicekę wykonać podług ryc. Pasek z wstążki granatowej z białem.

Ubranie dla chłopczyka od 11—13 lat

Rycina Nr 4. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 39—48).

Ubranie złożone z majtek i tak zwanej tyrolki z materiału wełnia-

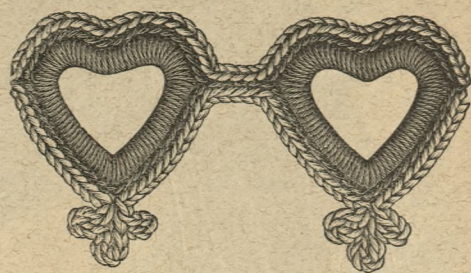


Nr 3. Suknia dla panienki od 7—9 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 49—58).

Nr 4. Ubranie dla chłopczyka od 11—13 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 39—48).

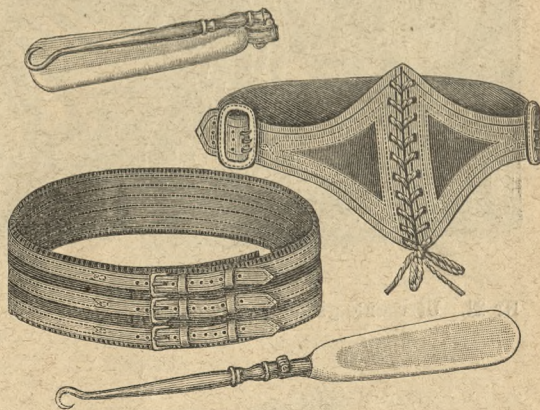


Nr 14 i 15. Suknia z fularu i aksamitu.



Nr 2. Szlaczek wykonany szydełkiem do ryc. Nr 43 (wielkość oryginalna). Opis w Bl. Nr 37.

nego mieszanego. Po dopełnieniu złożenia fig. 40 skrajać majtki fig. 39 i 40 po dwie części, zeszyć przednią i tylną od 1 do 2, od 3 do 4 i od 5 do 6, następnie przednie części od 6 do 7, tylne od 6 do 8 i w dolnej części wykonać rozporek, dziurki i przyszyć guziki. Wszyć kieszenie od 2 do 3, do lewej przedniej części przyszyć listwę pod spodem z dziurkami a do prawej z guzikami, wykonać małe fałdy i wszyć w pasek zaopatrzonej podkładem i podszewką 4 c. szer., oraz guzikami. Przyszyć pasek do sprzączki. Co do tyrolki skrajać z podszewki i materiału fig.



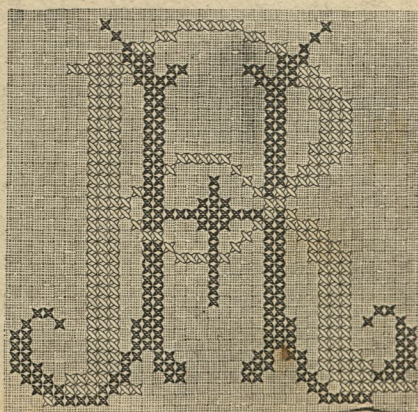
Nr 10—13. Paski ze skóry, oraz maszyna do zapinania rękawiczek.

42—44 po dwie części; tylko z podszewki fig. 45, oraz z podkładu, podszewki i materiału fig. 47 po jednej złożonej wzdłuż środka. Po wykonaniu szwu w fig. 42 od 9 do 10, zeszyć plecy i przednie części podług cyfr, przyczem przyszyć w miejscu oznaczonym dwukropkiem pasek zaopatrzonej w dziurkę i w guzik. Wykonać nacięcia wzdłuż podwójnej linii, powszywać kieszenie i podług znaków kłapki i przednią część tyrolki zaopatrzyć w dziurki i w guziki. Zeszyć kołnierz od 15 do 16 i wykonać rękawy podług fig. 48.

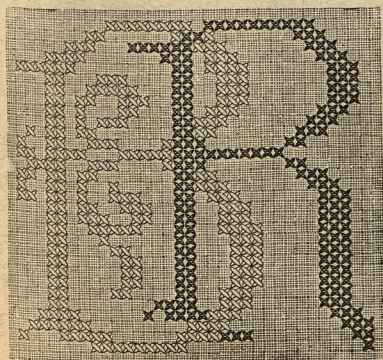
Sukienka wycięta z bluzką dla panienki od 3—5 lat.

Rycina Nr 19. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 22—27).

Sukienka złożona z bluzki, która się kładzie pod spód i z sukienki wyciętej bez rękawów wykonana z białystu różowego w białe paski i ozdobiona haftowanymi falbankami. Bluzkę skrajać podług fig. 22 jedną część złożoną wzdłuż środka. Fig. 23 dwie



Nr 17. Monogram (robota krzyżowa).



Nr 16. Monogram (robota krzyżowa).

części; fig. 24 z uwzględnieniem konturu spodnich części rękawów. Po wykonaniu z haftu przedniej części bluzki wyciąć materiał z pod spodu, ułożyć takową, oraz tylną część bluzki w kontrafaldy, trafiając każdy $\dagger$ na kropkę, wewnętrzne zgięcia fald należy połączyć z sobą i w dolnym brzegu przyszyć pasek na przesunięcie tasiemki. Po zmarszczeniu górnej części rękawów od $\dagger$ do $\dagger$, połączyć takowe ze spodnimi częściami, w dolnym brzegu zmarszczyć od $\dagger$ do $\dagger$, ozdobić mankietami wykonanymi z haftu, umocować $\dagger$ a na kropce a i wszyć w bluzkę, której wycięcie szyi otoczyć wąską koroneczką i szlaczkiem podług ryciny do przewleczenia wąskiej różowej wstążeczki. Co do sukienki skrajać fig. 26 jedną część złożoną wzdłuż środka; fig. 27 dwie części, zmarszczyć takową w górnym i w dolnym brzegu pomiędzy liniami w sposób, ażeby przednia część miała szerokości 21 cent., plecy zaś szer. 10 c. i wszyć górny brzeg w pasek 2 cen. szer. Po połączeniu tychże ramionkami 13 cent. dług. a 2 c. szer. z batystu podwójnie złożonego, otoczyć falbanką haftowaną 8 c. szer. i wypustką tak samo, jak i paszki. Dolną część spódniczki przybrać podług ryc. obrąbkami i falbanką.

Sukienka haftowana dla dziecka od 2—4 lat.

Rycina Nr 20 i 1. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 28a—31.

Sukienka z białej satinki. Skrajać fig. 28a dwie części; fig. 29—31 po jednej złożonej wzdłuż środka, pierwszą zmarszczyć pomiędzy liniami na 7 c. dług., górną część ułożyć w faldy, trafiając $\dagger$ na kropkę, wyłożyć wzdłuż linii zgięcia i zaokrąglić podług fig. 28b. Po zmarszczeniu pleców w górze pomiędzy liniami na 20 cent., w dole na 18 c. dl.

połączyć z karczkiem zaopatrzonym podszewką. Zeszyć przednią część z tylną podług cyfr, przednią część zaopatrzyć w dziurki i w guziki do zapinania i pokryć szlaczkiem haftowanym podług ryciny Nr 1 bawełną ponsową ścięciem krzyżowym, wykonanym na podkładzie z kanwy. Przyszyć kołnierz ozdobiony haftem. Rękawy podług fig. 24 i 25 nieco mniejsze wszyć w stanik. Dolny brzeg spódniczki ozdobić szlaczkiem podług ryc. i takież sam wykonać pasek.

Strój głowy panny młodej.

Rycina Nr 21.

Na wierzchołku głowy spleść mały warkoczyk, do którego ma się przypinać dalsze uczesanie włosów. Następnie zakarbować żelazkiem część przednią włosów, rozdzieloną na dwie połowy i zaczesać ku górze. Resztę włosów zebrać i lekko skręcając umocować na splecionym warkoczku. Przednie krótkie włosy ułożyć w drobne loczki na czoło podług ryc. Młode panienki zdobią głowę w wieniec kwiatów pomarańczowych, wdowy zaś w róże białe lub żółtawego koloru. Welon ułożony bardzo lekko. Oddzielnie użyć można welonu pokrywającego twarz.

Uczesanie głowy w stylu bizantyjskim.

Rycina Nr 22 i 25.

Uczesanie z własnych średniej wielkości włosów. Spleść mały warkoczyk w tylnej części głowy i upiąć w supełek. Wszystkie włosy przypieć żelazkiem zarzuć w tył, oprócz przednich krótkich, które ułożyć na czole podług ryc. Zarzucone w tył ułożyć i przypieć na warkoczku, lekko skręcając. Otoczyć rodzajem pierścienia z dżetu i umocować dżetową dużą szpiłką. W tylnej dolnej części ułożyć parę krótkich loków.



Nr 18. Suknia dla panienki od 4—6 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 10—15).

Nr 19. Suknia dla dziecka od 3—5 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 16—19).

Nr 20. Suknia dla dziecka od 2—4 lat (do ryc. Nr 1). Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 28—31.



Nr 26 i 27. Suknia z materiału jedwabnego w paski i kołnierz z materiału lnianego. (Opis odwr. str. tabl.).

Nr 28 i 29. Suknia z muszliny wełnianej i kołnierz z materiału lnianego. (Opis odwr. str. tabl.).

Uczesanie głowy dla młodej osoby.

Rycina Nr 23.

Spleść na wierzchołku głowy mały warkoczyk, do którego przymocować wszystkie włosy od ucha do ucha rozebrane. Tylne zaś włosy wnieść w górę i również przymocować do warkoczka, z tych zebranych w jeden punkt włosów ułożyć w pukle podług ryc. i otoczyć rodzajem korony z szyldkretu. Przednie krótkie włosy przypieć żelazkiem i ułożyć w drobne loczki nie symetryczne na czole.

Suknia i uczesanie głowy młodej osoby.

Rycina Nr 24 i 25.

Suknia z cienkiej wełnianej tkaniny koloru lila, przybrana pasmanterią i białą koronką, złożona z spódnicy i stanika. Spódnica cała podszycia materiałem jedwabnym i w dolnym brzegu przybrana trzema ukośnymi falbankami, po nad którymi przyszyta pasmanterya. Stanik lekko marszczony, jak z przodu tak z tyłu, przybrany koronką podług ryciny i wstążką z wstążki lila. Rękawy z podwójnych buf złożone. Uczesanie głowy ryc. Nr 25 i odpowiednia część przednia opisana pod ryc. Nr 22.

Suknia dla młodej osoby.

Rycina Nr 30.

Suknia z kreponu koloru różowego ozdobiona białą koronką. Na spódnicy z różowego jedwabnego materiału, wierzchnia spódnica z kreponu przybrana z przodu podług ryciny w równych odstępach czterema wstawkami koronkowymi 12 cent. szer. Stanik zapięty pod spódnicą z karczkiem koronkowym, marszczonym przy wycięciu szyi i wszytym w kołnierz z kreponu, dalej zaś stanik, ułożony w rodzaj draperyi zapina się na lewym boku i przybrany kokardą ze wstążki. Rękawy bufiaste koronkowe bez podszewki.

Suknia dla młodej osoby.

Rycina Nr 31.

Suknia złożona z spódnicy i stanika, wykonana z woału koloru niebieskiego i przybrana koronką gipiurową. Spodni stanik z materiału jedwabnego, zapina się z przodu a krzyżowanie wierzchnie z woału na boku. Wstążka jedwabna niebieska wykończa całość podług ryc.

Miód, jako środek leczniczy dla chorych kanarków.

Gdy raz w artykule o pielęgnowaniu kanarków przeczytała, że przeciw chorobom tych pokojowych ptaszek czysty miód jest znakomitem lekarstwem, nie dałam wiary temu twierdzeniu, dopóki sama w nagłej potrzebie do środka tego nie uciekłam się. Posiadam mianowicie znakomitego śpiewaka, który nagle w chłodnym i wilgotnym mieszkaniu mojem zastąpił na odretwienie kończyn i chrypkę. Wszystkie środki użyte przezemnie nie przyniosły pożądanego skutku. Wtedy przypomniałam sobie wzmiankę o powyższym środku leczniczym i zaczęłam kurować miodem mego biednego kanarka, który już nie śpiewał od roku. Na bułeczkę w mleku maczanej, którą mu dawałam zwykłe co rano, puszczałam kilka kropel rozgrzanego miodu. Przysmak ten w krótkim czasie wielce ptaszynie przypadł do smaku. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu polepszał się coraz więcej stan

Nr 23. Uczesanie głowy młodej osoby.

Nr 24 i 25. Suknia i uczesanie głowy dla młodej osoby (do ryc. Nr 22).



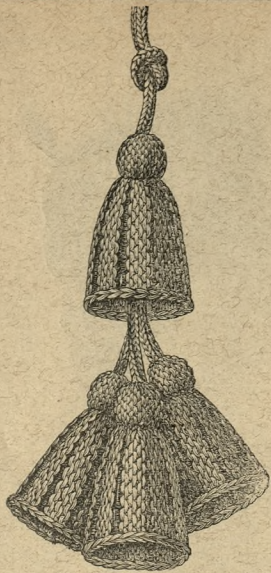
Nr 31. Suknia dla młodej osoby.

Nr 21. Uczesanie głowy panny młodej.

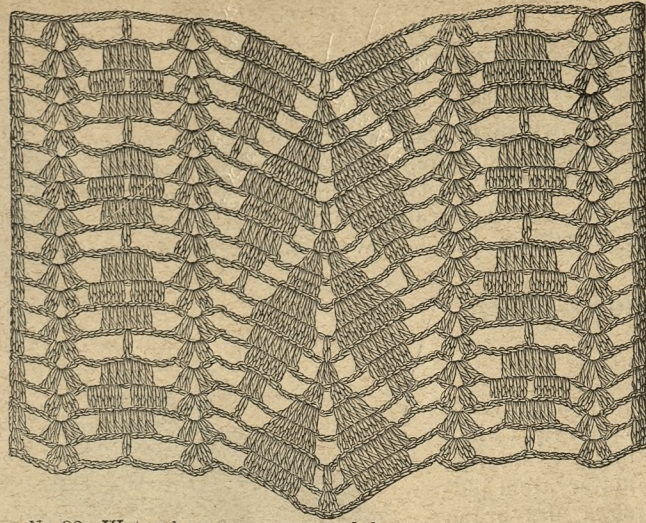
Nr 22. Uczesanie głowy w stylu bizantyjskim (do ryc. Nr 25).



Nr 30. Suknia dla młodej osoby.



Nr 34. Grelotki wykonane robotą drutową i szydełk. (patrz ryc. 22 w Bl. Nr 37) doryc. Nr 35.



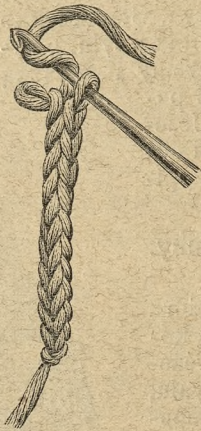
Nr 32. Wstawka wykonana szydełkiem do bielizny na pościel (patrz ryc. Nr 22 w Bl. Nr 37).



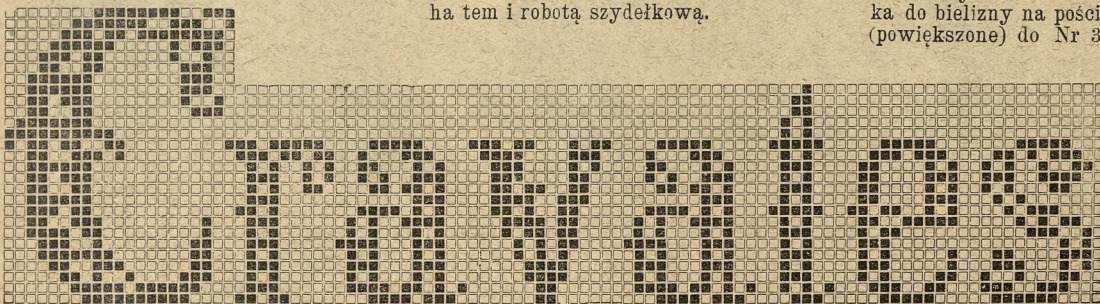
Nr 36. Znak z ozdobami (ścieg płaski).



Nr 43. Teczka na chowanie krawatów ozdobiona tem i robotą szydełkową.



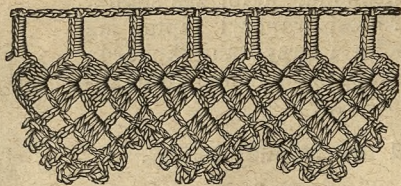
Nr 35. Wykonanie sznurka do bielizny na pościel (powiększone) do Nr 34.



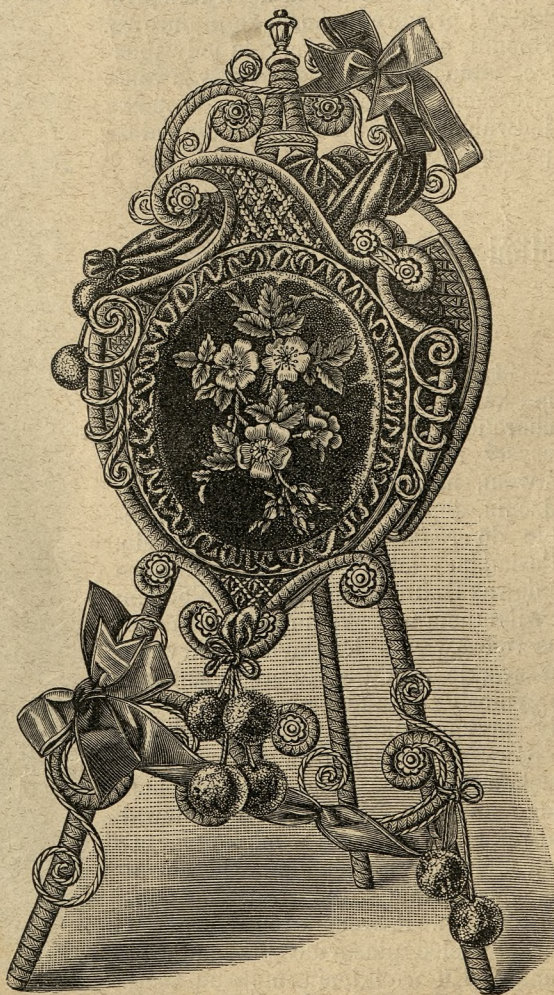
Nr 44. Deseń na teczkę Nr 43 (ścieg krzyżowy).



Nr 37. Torebka do zawieszania na ścianę do damskiej ubieralni.



Nr 33. Koronka wykonana szydełkiem do bielizny na pościel (patrz ryc. Nr 22 w Bl. Nr 37) (18)



Nr 40. Postument na gazety ozdobiony haftem.

zdrowia kanarka: piórka, poprzednio strzępiaste i martwe, nabrały blasku, zesztynniały nóżki — giętkości, apetyt i żwawość powróciły, i w tej chwili w doniosłych treściach zawodzi pieśń dziękczynną na cześć miodu, który jak wodzi czytelnik, wiernego mego towarzysza uratował. *M. I.*

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa ogórkowa.
2. Kotlety baranie, sos „Soubise.”
3. Makaron z pomidorami.
4. Młode indyczki z sałatą z jarzyn.
5. Owoce.

DOŚWIADCZENIE PRAKTYCZNE.

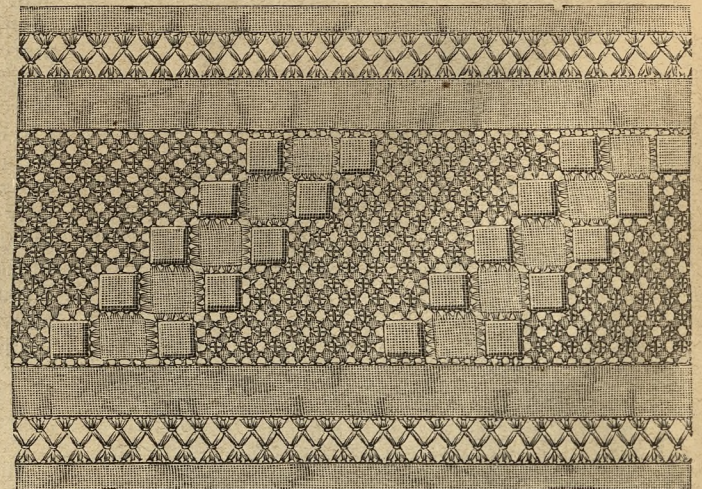
Wszelkie konserwy owocowe zalewać zimnym syropem, gdyż dziś się już surowy owoc nie kładzie w kompoty (patrz „Jedynie praktyczne przepisy”) a zalane gorącym, cukier gęsty opada na spód, a w górze zostaje kwas owocowy i łatwiej się formuje pleśń.

KORESPONDENCYA.

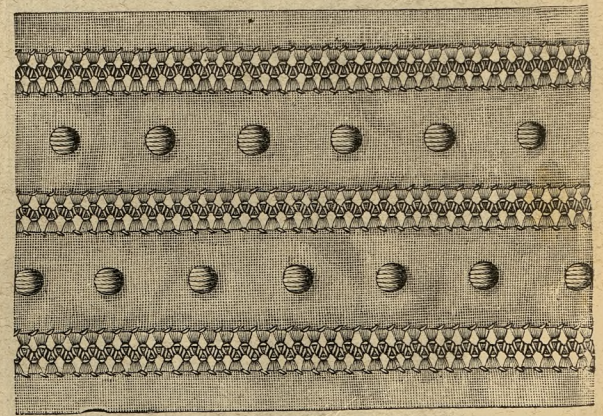
Odp. pani M. C. Księstwo Poznańskie.

Syrop kartoflany jest zupełnie nie dobry do smarzenia konfitur, soków i t. p., choćby to pani wszyscy mówili, jak pani twierdzi. Jako dowód daję pani: Na wystawie ogrodniczej w roku 1880, cukiernik jakiś miał przepyszne konfitury, które mnie nawet zadziwiały, przeczuwałam jednak fałsz. Gdy sędziowie kompetentni otworzyli słoiki i spróbowali, usta im się pozlepiały od krochmalu, zawartego w syropie; oprócz tego są niesmaczne.

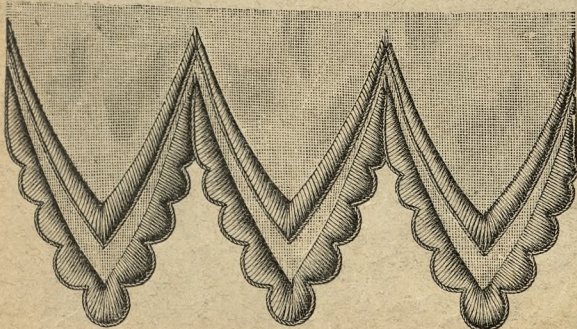
UWAGA. Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze dzisiejszym dołączoną była do zeszłego N-ru „Bluszczu.”



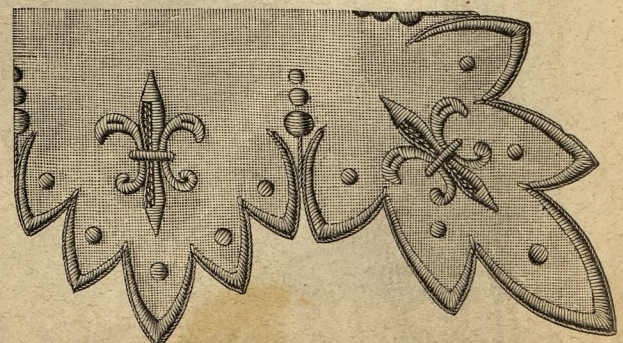
Nr 39. Szlak do poszewki na poduszkę ryc. Nr 17 (ścieg przezroczysty).



Nr 38. Szlak do poszewki na ryc. Nr 15 (ścieg przezroczysty i płaski).



Nr 41. Zęby poszewki na poduszkę Nr 16 (ścieg dziurkany).



Nr 42. Szlak do ozdoby bielizny (ścieg płaski i dziergany).